

Tytuł oryginału
Christina's Voyage

Redaktor
Agnieszka Śliwa

Zdjęcie
© Krzysztof Kamiński

Opracowanie graficzne
Piotr Metlenga

Copyright © 1984 by Blakely St. James
© Copyright for the Polish edition
by PHANTOM PRESS INTERNATIONAL
Gdańsk 1992

Printed and bound in Great Britain

Wydanie I

ISBN 83-7075-125-3

ROZDZIAŁ I

Helikopter powoli lądował. Śmigła porywały wirujący śnieg i tworzyły fantazyjny biały тумan. Czerwony napis COLD SPRINGS HELI SKI wyraźnie rysował się na białym tle maszyny. Gdy tylko pył opadł, podeszłam do przewodnika i wręczyłam mu narty. Ten umieścił je wewnątrz śmigłowca, na stojaku. Szybko podeszłam do schodków i weszłam po nich do środka. Odczuwałam radość na samą myśl o moim pierwszym zjeździe po dziewiczym terenie oraz ulgę, że opuściłam to nudne towarzystwo. Fakt, że przebywałam w najnowocześniejszym helikopterowym ośrodku narciarskim – żadnych wyciągów i orczyków, żadnych śladów na świeżym śniegu – sugerował, iż jest to miejsce zimowych spotkań dla najbogatszych. Lecz chociaż jego wygląd odpowiadał cenom, swój pierwszy wieczór spędziłam w nudnym towarzystwie stewarda lotniczego i dentysty z Minneapolis.

Teraz, wewnątrz helikoptera, wszystko zaczęło wyglądać o wiele lepiej. Dostrzegłam jeszcze jednego pasażera. Był to jeden z tych, którzy nigdy nie pozwalają ostygnąć mojej krwi. Wyglądał na czterdzieści lat, ale nawet gdy siedział, zauważałam jego wspaniałą sylwetkę. Ponieważ nigdy nie czekam, aż mężczyzna zrobi pierwszy ruch, zapytałam:

- Jak się tu dostałeś?

- Złapałem helikopter przy hangarze - odpowiedział.

- Spryciarz!

Uświadomiłam sobie, że facet jest lepszy ode mnie. Ten pomysł ominięcia kolejki nie przyszedł mi do głowy.

- To nie spryt - sprostował - nienawidzę zimna.

Chciałam odpowiedzieć, ale helikopter wystartował i ryk silnika zagłuszył wszelką rozmowę.

Budynek pensjonatu zniknął za krawędzią urwiska. W chwilę potem ujrzeliśmy z lotu ptaka całą Sierę Nevadę, ze szczytem Anishinaba i kominami Lake Tahoe. To był oszałamiający widok.

Wylądowaliśmy na szczycie i prawie zapomniałam o moim towarzyszu. Wskoczyłam z helikoptera, zabrałam narty i przypięłam je. Spojrzałam na rozciągającą się u moich stóp powierzchnię zbocza, wzięłam głęboki oddech i ruszyłam. Ostatnią rzeczą, której pragnęłam, to towarzystwo kogokolwiek. Tę nieskazitelną biel chciałam mieć tylko dla siebie.

I przez moment miałam ją. Otaczał mnie świeży, nietknięty śniegowy pył. Na ugiętych kolanach, doskonale utrzymując równowagę, pędziłam w dół, otoczona śnieżną chmurą, która tłumiała wszystkie dźwięki.

Jak zwykle, gdy jeżdżę na nartach, łyżwach, biegam, czy prowadzę samochód, przepełnia mnie uczucie szybkości, potem zmieniające się

w pożądanie. Czułam, że moja szparka wilgotnieje od tarcia wywołanego ruchem nóg. Chciałam poruszać się jeszcze szybciej. Moje ciało płonęło od szybkości i tęsknoty; chciało mi się krzyknąć z radości!

Nagle obok przemknęła czerwona strzała. Jeździłam z większością byłych i obecnych olimpijczyków, na zboczu mogłam niejednemu dotrzymać kroku. Nie widziałam jednak nikogo, kto by jeździł jak ten wariat, który wyprzedził mnie właśnie. Byłam tak zdumiona, że niemal nie wróciłam się.

Oczywiście wiedziałam, kto to jest. Moje odkrycie z helikoptera; mężczyzna, który nie cierpi zimna.

Usiłował mi zaimponować. I udało mu się. Przez kilka chwil jechałam, podziwiając perfekcję, z jaką mknął po zboczu. Jego szybkość musiała przekraczać siedemdziesiąt mil na godzinę. Moje pożądanie zaczęło narastać na nowo, z jeszcze większą siłą. Nie mogłam już dłużej tego znieść. Ruszyłam w pogoń. Wyczuł to instynktownie i zaczął zwalniać.

Aby zbliżyć się do niego, musiałam jechać szybciej niż przedtem. Doszłam do wniosku, że ocenił moje możliwości i zmusza mnie do takiej jazdy. Podjęłam wyzwanie. Pędziłam jak szalona. Mimo mroźnego wiatru, moje ciało pod kombinizonem było mokre od potu.

Najpierw powoli, prawie niezauważalnie, potem trochę szybciej malał odstęp między nami.

Kiedy go już prawie dopędziłam, skręcił wciągając mnie na muldę. Podobnie jak na zboczach, ta jego technika jazdy również była doskonała. Prawidłowo wyczuwał, na które wzniesienie wjechać, które przeskoczyć, a które ominąć. Podążałam za nim, usiłując trzymać się trasy. Spozstrzegłam, że wybrał najkrótszą i najmniej wyboistą linię zjazdu. Byliśmy już na krawędzi lasu. Wiedziałam, że gdy znajdę się już na dole, w pensjonacie, spróbuję zaciągnąć tego faceta do mojego pokoju – nawet na siłę. Przeczucie tego, co mnie czeka, sprawiło, że przyspieszyłam.

Ale właśnie wtedy, gdy usiłowałam dopaść go nareszcie, moja ofiara zniknęła. Skręcił nagle i wjechał między drzewa. Gdy przepadł wśród sosen i świerków, przystanąłam na chwilę. Co jest grane? Zabawa w chowanego? A może chce mnie zabrać na samobójczy bieg przez las? Choć lubiłam szybkość i emocje, nigdy nie przekraczałam granicy bezpieczeństwa. Jeśli już ktoś musi ryzykować życie, to są rzeczy bardziej godne poświęcenia, niż taka przejażdżka. Jednak moja miłość własna została urażona. Skręciłam za nim w las. Zdecydowałam, że jeśli dostrzegę ślad na długim dystansie, zawrócę. Ostatecznie zawsze mogą znaleźć go w pensjonacie.

Na szczęście tylko trochę zboczył z głównego szlaku. Stał z uśmiechem na twarzy, a jego czer-

wony kombinezon odcinał się od pni drzew i polyskującego śniegu. Serce zaczęło mi szybciej uderzać.

– Słyszałam, że nienawidzisz zimna – rzekłam podejrzliwie.

– Nienawidzę – odpowiedział – dlatego muszę coś robić, aby nie marznąć.

– Na przykład jechać szybciej niż wiatr?

– To jedna z metod.

Oboje wiedzieliśmy, co teraz nastąpi. Pieściliśmy się wzrokiem.

– A znasz inną? – zapytałam zachęcająco.

– Tak – odparł.

Odpiął narty i podszedł do mnie. Objął mocno i zaczął całować. Westchnęłam z rozkoszy. Rozchyliłam usta pod wpływem zadziwiającej miękkości jego warg i niecierpliwości języka. Trwaliśmy tak falując w rytm tańca naszych pocałunków. Byłam już podniecona wariackim zjazdem w dół zbocza, a teraz kontakt z nim powoli zwiększał moje pożądanie. Myślałam, że nic więcej nie nastąpi, gdyż skutecznie rozdzielały nas grube ubrania.

Przynajmniej ja tak myślałam. Nagle gwałtownym ruchem zdjął rękawiczki i rozsunął zamki mego kombinezonu. Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, jego ręka wtargnęła pod mój sweter i pochwyliła ciepłą pierś. Szybkość tego ruchu i nieopisana przyjemność dotyku, zaparły mi dech.

- Co... robisz? - zdołałam wyjąkać.

- Ogrzewam rękę - odpowiedział, pieszcząc rozbudzone sutki.

- Wybacz - oddychałam niespokojnie - czy nie uważasz, że w pensjonacie byłoby wygodniej?

- Mam lepszy pomysł!

- Naprawdę?

Przez chwilę myślałam, że zaproponuje dalszą jazdę na nartach.

- Kochajmy się tutaj - rzekł po chwili.

- Na śniegu? - zadrżałam na samą myśl.

- Pod śniegiem - odpowiedział. - Jak psy zaprzęgowe.

- Sądzę, że zauważyłeś u mnie kompletny brak sierści.

- Nie będziesz potrzebowała futra. Uwierz mi.

Pocałował mnie, potem uklękł i odpiął mi narty. Odszedł kawałek, szybko odnalazł miejsce, w którym zasy pył śniegu stwardniały w ciągu nocy. Zaczął kopać, a robił to tak szybko, że wkrótce zniknął w wirującym białym puchu. Patrzyłam zdumiona. Nie miałam pewności, czy spotkałam łowcę najbardziej niewyobrażalnych przygód, czy też najzwyczajszego szaleńca.

Gdy już całkowicie zniknął w tym zaimprovizowanym tunelu zawołał mnie.

- Hej, jakkolwiek masz na imię, wchodź!

- Jestem Krystyna. Już wchodzę - odpowiedziałam.

Dałam nura. W środku tunelu było wystar-

czając dużo miejsca dla dwóch osób. Kilkominutowa obecność mężczyzny w śniegowej jaskini sprawiła, że wewnątrz stało się zadziwiająco ciepło.

- O Boże! - wykrzyknęłam. - To działa!

- Oczywiście, że działa - odparł z uśmiechem.

Chciałam powiedzieć coś o górach i alpejczykach, ale zamknął mi usta długim pocałunkiem. Było mi całkiem ciepło w naszym śnieżnym gniazdku i gdy mój kochanek zaczął mnie rozbiierać, nie protestowałam. Płonęłam z podniecenia.

Ciało miało prawie takie, jakie sobie wymarzyłam: gładkie i wspaniale umięśnione, pokryte delikatnym meszkiem, a jego penis wyglądał zachęcająco. Nie myśląc długo, wzięłam go w rękę i zaczęłam igrać, masując go od góry aż do drżącej podstawy.

- Mmm - wyszeptalam. - To śliczne!

I tak rzeczywiście czułam. Odosobnienie i biała nagość naszej groty eliminowały wszelkie przeszkody, a ciepło zebrane przez nas na tej mikroskopijnej przestrzeni podniecało. Byliśmy całkowicie zespoleni. Czułam się jak dziewczica przeżywająca swój pierwszy kontakt z kochankiem w puszystej bieli.

Trwało to przez kilka chwil. Gdy pieścił mnie, nie pozostawiałam mu dłużna. Wiedziałam, że wkrótce wypełni me wnętrze cudownym ciepłem.

- Kochanie - wyszeptalam. - Pragnę cię!

Nie czekając na odpowiedź usiadłam na nim

tak, że czubek penisa stanął naprzeciwko mojej wilgotnej szparki. Z radością wbiłam się, chowając go jednym pewnym ruchem.

– Boże! – zadrżałam czując, jak mnie wypełnia.

– Tak, kobieto – wyszeptał – weź mnie w siebie. Właśnie tak!

Zaczęłam poruszać biodrami, przesuwając je wzdłuż wyprężonej kolumny. Szybciej, coraz szybciej. Jęknął pode mną i ujął moją talię regulując rytm i mocniej przyciskając mnie do swoich łędźwi. Czułam pierwsze fale narastającego orgazmu.

– To już coraz bliżej, skarbie – dyszałam. – Bliżej!

– Tak – powiedział. – Chodź do mnie!

– Och! – krzyczałam, gdy dreszcz przepływał przeze mnie. – Och!

– Dobrze – ryknął. – Właśnie tak! Taaak!

Furia jego orgazmu szarpnęła mną z taką siłą, że musiałam krzyżeć. W końcu padliśmy sobie w ramiona. Tarzaliśmy się w śnieżnym tunelu niczym w łożu z baldachimem: złączone ciała, rozgrzane miłością i niepomne na mroźne góry.

ROZDZIAŁ II

Resztę ranka spędziliśmy na zboczach, oddając się wesołej zabawie. Rozradowani, pomykając w dół sprawiliśmy, że helikopter musiał przełuzić swoją pracę. W południe śmigłowiec zabrał nas z powrotem na szczyt Anishinaba, gdzie czekały na nas stoły przykryte purpurowymi obrusami, zastawione półmiskami pełnymi wspaniałych potraw.

Posiłek składał się z pieczonych przepiórek w sosie rodzynkowym, kawioru, ziemniaków po liońsku oraz świeżego chleba z rozmarynem. Piliśmy kalifornijskie wino, oczywiście najlepszy Chateau Montelena Cabernet. Podano go tyle, że każdy mógł skosztować do woli.

Usiedliśmy w najbardziej odosobnionym miejscu i po raz pierwszy od naszych intymnych igraszek w śnieżnym tunelu, zaczęliśmy rozmawiać.

Kokieteryjnie spoglądałam na mego kochanka.

– Teraz, kiedy już poznaliśmy nasze ciała, wypadałoby, abyśmy również poznali nasze imiona i nazwiska – rzekłam z uśmiechem.

– Roan Jacobson – powiedział i podał mi rękę. Był to przyjacielski gest, ale tak komiczny w naszej sytuacji, że wybuchnąłam głośnym śmiechem, odwzajemniając uścisk.

– Roan? – zapytałam. – To brzmi jak imię konia.

– Tak, proszę pani – odparł. – Przyszedłem na świat piegowaty i kiedy ojciec zobaczył mnie po raz pierwszy, dał mi to imię i przygnęło ono do mnie. Wszyscy mnie tak nazywali. Z wyjątkiem matki.

– A jak ona cię nazywała? – zapytałam rozbawiona.

– Harold – odpowiedział. – Moim chrzestnym imieniem.

– Myślę, że będę nazywać cię Roan – stwierdziłam.

– Jestem zobowiązany.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu, ale wkrótce moja ciekawość zwyciężyła. Wiedziałam, że to nietaktownie wypytywać kogoś o to, jak zarabia na życie, ale wygląd tego człowieka był tak nietypowy, że niczego nie mogłam się domyśleć.

– A więc Roan – zaczęłam – jesteś kowbojem?

– Nie, proszę pani – odpowiedział. – Właścicielem spółki naftowej.

Ta odpowiedź poraziła mnie niczym grom. Niemalże otworzyłam usta ze zdumienia.

– Ale chyba nie Arrow Petroleum – zapytałam niepewnym głosem.

– Właśnie tej – potwierdził. Zabrzmiało to jak wyznanie winy.

Poznałam jego tajemnicę już dużo wcześniej.

Roan Jacobson zaczął karierę jako geolog na uniwersytecie w Oklahomie. Odkrył ropę w południowo-wschodnim Kolorado. Za ten sukces wzbogaceni mieszkańcy lokalnej społeczności wybrali go burmistrzem Red Rock. Podrażniony polityką restrykcji, zrezygnował z funkcji po jednej kadencji i wyjechał do Brazylii, do lasów nad Amazonkę. Tam podobnie jak w Kolorado, szczęście mu dopisało. Tym razem jednak nie bez poświęceń. W trakcie penetrowania dżungli został zraniony w biodro zatrutą strzałą, co sprawiło, że stanął na krawędzi życia i śmierci. Przeżył dzięki opiece i ziołom tego samego Indianina, który go postrzelił.

Potem kupił kilka małych spółek i połączył je w jedną pod wspólną nazwą Arrow (Strzała), na pamiątkę, jak mówił, bliskiego kontaktu z dziewicznością lasów Brazylii.

Arrow nie należała do typowych spółek. Stanowiła monarchię absolutną. Jacobson rządził w niej sam, bez zarządu i dyrektorów. Jego akcje nie figurowały na rynku z tego prostego powodu, że Jacobson był właścicielem ich wszystkich. Taktyka, w myśl której działały zjednoczone spółki, znana była pod nazwą „Siedem Sióstr”.

Arrow była niezależna także w innym sensie. Jako jedyna ze spółek naftowych, mogła przeciwstawiać się zarządowi spółki naftowej z Alaski, której rurociągi leżały na terenach Indian.

Indianie Tuolomne protestowali przeciwko

wydobywaniu ropy z ziemi, która stanowiła terytorium ich rezerwatu.

Jakobson oczywiście wynajął najlepszych prawników w kraju, aby reprezentowali interesy Indian. Arrow po cichu wywierała nacisk, zwalczając wiercenie u wybrzeży Kalifornii. Działała jednak głównie za kulisami, blokując spotkanie z sekretarzem stanu, Jasonem Wynnem. Nic nie działo się publicznie. Jacobson odczuwał prawie maniackalny strach przed kamerą i rozgłosem w jakiegokolwiek formie. Jakim więc cudem wiedziałam o nim wszystko?

Kiedy przejęłam redagowanie „Worlda”, pierwszy artykuł, który opublikowałam, dotyczył właśnie Arrow i Jacobsona.

Wcześniej wysłałam najlepszemu reporterowi, aby wywęszył coś na temat spółki i jej nieuchwytnego właściciela. Zrobił dobrą robotę. Tak dobrze, że kiedy w końcu ten artykuł ukazał się – z zapowiedzią na okładce i dziesięcioma tysiącami słów w środku – otrzymaliśmy z Arrow tylko jeden krótki telefon. Doniesiono mi, że Jacobson był wściekły.

To dlatego teraz z trudem powstrzymywałam śmiech, nie mogąc uwierzyć w ten komiczny zbieg okoliczności. Ale mój nowy kochanek, nie mógł tego wszystkiego przewidzieć.

– Co w tym śmiesznego? – zapytał. – Większość ludzi myśli o ropie jak o poważnym interesie.

– Roan – zachichotałam. – Czy zapytałeś mnie o nazwisko?

– Nie – odparł. – A jak ono brzmi?

– Van Bell.

Nawet gdybym żyła sto lat (a taki mam zamiar, bo jakże inaczej napisałabym swoje pamiętniki), nigdy nie zapomnę widoku jego twarzy. Nie zwykł okazywać swoich uczuć, ale teraz spojrział na mnie zdumiony, jak nigdy w życiu.

– To niemożliwe! – zawołał. – Co za ponury żart!

– Proszę, kochanie – zaznaczyłam – bez żadnych pretensji. Wiesz, że każde słowo, które napisaliśmy, nie odbiegało od prawdy.

– Nie o to chodzi – zaczynał być zły. Zrobiliście to bez mojego pozwolenia.

– Roan – powiedziałam – możesz rządzić swoją spółką żelazną ręką, ale nie mną. A poza tym jesteś osobą publiczną, a wszystko co robiliśmy, było całkowicie legalne.

– Legalność to jedno – odpowiedział. – Ale co z moralnością?

– Ach, któż to mówi o moralności? – rzekłam ze śmiechem.

Cień wstydu przemknął po jego twarzy, gdyż przypomniał sobie nasze niedawne igraszki na śniegu.

– Tak – powiedział, skłaniając głowę w moją stronę z wystudiowaną uprzejmością. – Wygra-

łaś. Tę rundę wygrałaś. A teraz zobaczymy, kto wygra zjazd. Ścigam się z tobą!

– Zgoda – przystałam na propozycję.

Nasz ostatni zjazd tego dnia odbył się z szaloną szybkością. Roan fruwał po zbozczu, wykonując tak minimalne ruchy, że nie mogłam ich uchwycić. Chociaż jechałam przynajmniej dwa razy szybciej niż przedtem, wkrótce zniknął mi z oczu. Kiedy dotarłam do celu, nigdzie go nie było.

Właśnie odpinałam narty, gdy podszedł do mnie boy hotelowy.

– Czy panna van Bell? – zapytał.

– Tak? – odparłam nieco zdziwiona.

– Pan Jacobson uprzejmie zaprasza panią do sali klubowej na drinka – rzekł chłopiec.

– Powiedz, że niedługo przyjdę.

Boy poszedł zanieść moją odpowiedź do hotelu. A ja udałam się do swego pokoju, aby się przebrać i uczesać.

Po chwili zastanowienia włożyłam mikroka-setę do magnetofonu, a całe małe urządzenie do kieszeni bluzki pod swetrem. Nigdy nie wiadomo, kiedy nagrana rozmowa może być przydatna.

Bar został urządzoney w takim samym stylu jak reszta Cold Springs. Jacobson siedział samotnie przy stoliku w rogu pomieszczenia. Miał kowbojski kapelusz i zniszczone dżinsy. Wyglądało na to, że jest mu wygodnie. Podeszłam do stolika i zajęłam miejsce obok.

– Wyglądasz wspaniale – powiedział podno-

sząc w górę szklaneczkę z koktajlem. – Jesteś jedyną kobietą jaką znam, która tak samo dobrze wygląda w ubraniu jak i bez.

– To pachnie pochlebstwem – zauważyłam. – A pochlebstwo zawsze ma jakiś cel.

Pokiwał głową, ale nie odpowiedział. Zamówił mi drinka i milczał, dopóki kelner nie podał trunku.

– Mam kłopot – zaczął. – Myślałem o nim przez całą drogę, jadąc w dół.

– Czy to znaczy, że jesteś w stanie jechać tak szybko i jednocześnie myśleć?

– To prawda – przytaknął. – Wtedy najlepiej mi się myśli. Choć czułem wściekłość, gdy przeczytałem wasz artykuł, muszę przyznać, że twój ludzie wykonali kawał dobrej roboty. Gdyby to nie dotyczyło mnie, uznałbym go za jeden z najlepszych artykułów, jaki czytałem.

– Dziękuję. Staramy się pracować sumiennie i fachowo.

– Może nadarzy się okazja, abyś mogła zrobić to jeszcze raz.

– Jeszcze jeden artykuł o tobie? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Nie, proszę pani – powiedział z naciskiem. – Jeden wystarczy. Chcę, abyś napisała artykuł o czymś, co mnie dotyczy. I to tak bardzo, że pewnego dnia mogę przez to wylecieć z interesu.

Próbowałam wyobrazić sobie, co to może być. Polityka? Konkurencja z Meksykiem? Nic nie pa-

sowało. Przetrzymał je wszystkie i prawdopodobnie przetrzyma w przyszłości.

– Co to takiego? – spytałam.

– Piraci – odparł krótko.

Zaskoczył mnie. Co to może mieć wspólnego z nowoczesnym przedsiębiorstwem naftowym?

– Ktoś ci się podłącza do rurociągu? – powiedziałam niepewnie. Był to jedyny rodzaj piractwa, jaki przychodził mi do głowy.

– Nie, proszę pani – odparł. – Mam na myśli morskich złodziei, którzy kradną moją ropę.

– Ale, na Boga, jak oni to robią? – spytałam niedowierzająco.

– Kradną tankowce – wyjaśnił.

Ledwie mogłam uwierzyć w to, co słyszałam. Brzmiało to jak bajka o Sinobrodym.

– Czy to prawda? – pytałam.

– Tak.

– Ale jakim sposobem?

– Też chciałbym wiedzieć. Tankowce wychodzą z portu pełne i to nie z jednego, a z wielu rozrzuconych po całym świecie. Potem znajduje się je puste na otwartym oceanie, a załoga gdzieś znika.

– Boże! – krzyknęłam – to niesamowite! Czy ktoś nie może z tym skończyć?

– Próbowaliśmy. Na pokładzie umieszczaliśmy zbrojną straż. Podwajaliśmy i potrajaliśmy jej liczbę. I nic.

– A władze? – zapytałam. – Marynarka wojenna? Straż przybrzeżna?

– Ocean jest wielki. Nikt nie jest zainteresowany kontrolowaniem wód międzynarodowych. Wiele krajów nie ma wystarczających środków, aby pilnować swoich wód terytorialnych.

– No dobrze, kochanie. Skoro marynarka całego świata nie może z tym zrobić porządku, to czego oczekujesz ode mnie? Jestem tylko wydawcą – zagadnęłam.

– Właśnie dlatego cię potrzebuję. Potrzebuję twojego czasopisma, a w nim artykułu o piractwie. W tym roku na forum ONZ odbędzie się konferencja dotycząca zmiany prawa morskiego. Może nawet zostanie rozstrzygnięta sprawa dotycząca powołania morskich pokojowych sił ONZ. To prawdopodobnie nie powstrzyma piratów, ale na pewno zmusi do zastanowienia.

– I chcesz nacisku ze strony prasy? – zgadywałam.

– Całego, jaki tylko jest możliwy – pokiwałam głową. – Zrobisz to i będziemy kwita.

– Wyjaśnijmy jedną rzecz – powiedziałam spokojnie – nic ci nie zawdzięczam. Napisałam na twój temat dobry artykuł i jeśli chodzi o mnie, nie mam żadnych długów czy zobowiązań.

– Dobrze – ustąpił. – A więc zrobisz mi przysługę? Zgoda?

– Roan – kontynuowałam. – „World” to poważny interes, a ja nim kieruję. Sądzę, że rozumiesz to jak nikt inny. Piszemy artykuły nie dla

przyjemności, ale aby informować, uczyć i bawić naszych czytelników.

– Odmawiasz? – zapytał.

– Tego nie powiedziałam. Jeśli chodzi o prawdę, podałam ci wszystkie powody, dla których to zrobimy.

– Co?

– To fantastyczna historia – w miarę jak mówiłam, coraz bardziej ten pomysł mnie intrygował. – Tu jest wszystko: przygoda, spisak, międzynarodowy zasięg, polityka. Oczywiście, że to zrobimy!

– Cudownie! – wykrzyknął. – A teraz pozwól, że coś zasugeruję. Dlaczego nie zlecić zadania temu samemu reporterowi, który pracował u mnie? Wykonał rewelacyjnie swoją pracę.

– Tak – zgodziłam się. – Tamten temat zrobił wspaniałe. Sądzę, że i teraz byłby równie świetny, ale znam kogoś lepszego.

Wiedziałam, że temat był zbyt dobry, aby powierzyć go komuś innemu. A poza tym coraz bardziej porywał mnie entuzjazm.

– Myślę, że sama to wezmę – rzekłam spokojnie.

– Ale dlaczego? – zapytał zdziwiony.

– Dlatego, kochany, że jak to odkryłeś tam w śniegu, jestem najlepsza.

ROZDZIAŁ III

Po kolejnym drinku Roan czarująco zaproponował, abyśmy naszą umowę przypieczętowali czymś bardziej serdecznym niż uścisk dłoni. Pod wpływem whisky i nie mijającego entuzjazmu przystałam na jego propozycję. Po chwili przekomarzania, opuściliśmy bar i poszliśmy do jego pokoju.

Pokój okazał się reprezentacyjnym apartamentem. Został umeblowany z tym samym, dobrym europejskim smakiem co reszta hotelu. W skład apartamentu wchodził dwuczęściowy wielki salon. Prawie całą jego ścianę stanowiło olbrzymie okno skierowane na Sierzę. Dwie rzeczy przykuły moją uwagę: cudowny basen wpuszczony w podłogę na środku pokoju i butelka szampana, w wiaderku z lodem tuż obok.

– Kochanie, czytasz w moich myślach. To dwie rzeczy, których potrzebuję po tej izbie tortur, którą urządziłeś mi na zboczach.

– Izba tortur? – udał zdziwienie. – Zabawne, nie słyszałem żadnych krzyków.

– Może usłyszysz tym razem! – odparłam. – Może tym razem.

W czasie tej krótkiej rozmowy, Roan pozbył się ubrania. Ochoczo podążyłam za jego przykładem i po chwili oboje byliśmy nadzy.

– Tak naprawdę nie przyglądałem ci się po-
przednio. Co za widok!

Słyszałam takie słowa niezliczoną ilość razy,
tak często, że zaczęłam w nie wierzyć. Wiedzia-
łam, że niewielu kobietom mówiono komple-
menty w ten sposób. Z naszego artykułu wiedzia-
łam, że Roan jest bezwzględny zdobywcą.
Przez pięć lat był żonaty z niezrównaną Anną
Marią Lizano, na wiele lat związał się z primaba-
leriną Joanną Paul i fotomodelką Samantą oraz
z międzynarodową uwodzicielką (a moim daw-
nym wrogiem) Tricią de Rosatti.

– Dziękuję ci – powiedziałam.

Podeszłam do niego i podniosłam swoje drżą-
ce piersi w geście ofiarowania.

– Tu, kochanie – powiedziałam – spójrz z bli-
ska.

Przez chwilę stał i oglądał mnie, później po-
woli klęknął. Jego dłonie wędrowały wzdłuż całe-
go mojego ciała zatrzymując się na pośladkach.
Nagle chwycił mnie mocno i przycisnął. Jego ję-
zyk przemknął wzdłuż mojej wilgotnej szparki.

– Mmmm – zamruczałam. – Cudownie!

– Tak, proszę pani – wyszeptał.

Znów wtargnął językiem do pączka miłości.
Poczułam rozkoszny dreszcz. Moje ciało zda-
wało się gdzieś spieszyć, ale umysł pozostał
chłodny. Objęłam jego głowę rękoma i pociągnę-
łam w górę.

– Kochany – powiedziałam – dlaczego nie od-

pozniemy trochę? Jestem wciąż zmęczona po
naszych igraszkach na zbczcu.

– Zgoda – odpowiedział wstając.

Wzięłam go za rękę i poprowadziłam do ba-
senu. Usiadłam na chłodnych kafelkach i zsunę-
łam się do wody. Kiedy spojrzałam w jego stronę,
nalewał szampana do kieliszków.

Po chwili dołączył do mnie i podał mi pucha-
rek pełen bąbelków. Czułam jak mija moje zmę-
czenie. Wypiliśmy po dwa kieliszki tego wspania-
lego, wytrawnego trunku.

Roan włączył pompy do masażu wodnego.
Wkrótce odczuliśmy przyjemne wirowanie wody.
Moje rozbudzone ciało zaczęło domagać się se-
ksualnego zaspokojenia. Instynktownie szuka-
łam mężczyzny, przymilnie pocierałam stopami
jego uda. Czułam kształt twardniejącego członka.

– To świetnie, że twój przyjaciel zechciał
wziąć udział w naszej zabawie – wyszeptałam.

– Trudno utrzymać go w ryzach, gdy gra się
zacznie – odpowiedział.

– I cóż – pytałam – umie ostro grać?

Mówiąc to dałam prztyczka penisowi i popły-
nęłam na drugi koniec basenu. Roan skoczył
w pogoń za mną.

– Możesz być pewna, że potrafimy grać ostro.

Udał, że chce skrócić, a gdy płynęłam w prze-
ciwnym kierunku złapał mnie za rękę i przyciąg-
nął do siebie. Zanim zdążyłam zaprotestować,
uszczypnął mnie mocno w sutkę, a drugą lekko

ugryzł. Kontrast między tą dość brutalną pieszczołą, a delikatnym masażem wody podziałał jak wstrząs. Pocałowałam go w czubek głowy, mrużąc z rozkoszy.

– Budzisz mnie, kochany!

Ponowił swoje zabiegi, tym razem natarczywiej. Znów przeszył mnie dreszcz. Silniejszy i dłuższy niż poprzedni.

– Tak skarbie – szeptałam. – Uwielbiam to. Dalej w ten sposób. Nie przestawaj!

Roan szczypał moje sutki, aż stanęły sztywno i dumnie. Jednocześnie wsunął rękę między moje uda i rozpoczął masaż w rytm pulsującej wody. Oszalała z rozkoszy namiętnie zacisnęłam palce na jego członku. Lecz Roan pociągnął mnie za rękę wzdłuż basenu do przeciwległego końca.

– Kochany – szepnęłam – dokąd mnie zabierasz?

– Zobaczysz.

To jedyne, co usłyszałam w odpowiedzi. Ustawił mnie w taki sposób, że wylot jednej z pomp znalazł się dokładnie na linii oddzielającej moje pośladki. Rozchylił je delikatnie, po czym wtargnął tam strumień wody naciskający łagodnie, lecz nieustannie na moje wnętrze.

– Mmmm – westchnęłam. – To cudowne uczucie!

– To tylko początek – odpowiedział.

Woda nieustannie masowała wnętrze moich pośladków, a Roan wciąż ssał moje stwardniałe

sutki. Cierpiałam z pożądania. Gdy rozdzielił różowe płatki masując mnie, nie mogłam już dłużej tego znieść. Przygłnęłam do ściany basenu, a woda zaczęła uderzać we mnie ze zdwojoną siłą. Rozedrgane palce mego kochanka, doprowadzały mnie do szaleństwa.

– Kochany! – krzyknęłam. – Muszę cię mieć! Proszę...

– Gdzie chcesz mnie mieć? – zapytał.

– Gdziekolwiek! Po prostu weź mnie! Jak najszybciej!

– Tak, proszę pani...

Jednym szybkim ruchem odwrócił mnie tak, że mogłam oprzeć głowę na brzegu basenu. Było mi wszystko jedno, którą z moich dziurek wybierze. W wyniku działania wody ta z tyłu została lepiej przygotowana.

Roan nie tracił ani chwili. Rozsunął pośladki i próbował wejść we mnie. Podrażniony mały pierścień otworzył się na jego powitanie. Cał za całem członek wchodził we wrażliwy kanał, wypełniając jego wnętrze. Kręciłam szaleńczo biodrami, chcąc przyspieszyć penetrację. Jedną z rąk wsunął między moje nogi.

Krzyknęłam.

– Tak! Właśnie tak! Weź mnie!

Penis wypełniał mnie z tyłu całkowicie. Teraz Roan zaczął poruszać biodrami początkowo powoli, potem z coraz większą szybkością. Ulegałam rytmowi.

To, co wydawało się godziną, trwało chwilę. Krzyczałam z rozkoszy na cały głos. Miałam wrażenie, że jestem instrumentem, na którym gra wirtuoz. Po tym cudownym crescendo, wiedziałam już, że to jeszcze nie koniec symfonii, że to tylko introdukcja.

Zasnęliśmy na dywanie obok basenu, ukołyszani szumem wody. Gdy otworzyłam oczy, w pokoju panował półmrok. Roan leżał wsparty na łokciu, spoglądając na mnie. Wciąż był nagi i wyglądał jak mityczny półbóg.

– Co robisz? – zapytałam.

– Małe oglądanie wystawy – odrzekł wesoło.

Położył mi delikatnie rękę na piersi i lekko nacisnął. Natychmiast wróciło pożądanie. Przyśnęłam się bliżej.

– Kochanie – powiedziałam – czy masz jeszcze trochę tych cudownych niespodzianek?

– Chcesz wiedzieć, czy mam jakieś upodobania? – odpowiedział. – Nie, żadnych.

– A więc wszystko ci jedno, gdzie wsuwasz swojego przyjaciela?

Wzcisnęłam palce wokół twardniejącej maczugi. Powoli zaczęłam przesuwać je w dół i w górę.

Jego biodra kołysały się w rytm moich ruchów.

– Dobrze – wyszeptałam – nie masz więc nic przeciwko temu, abyśmy zrobili to tak, jak za pierwszym razem.

– Świetnie – zgodził się. – Można mnie przekonać.

– Widzę.

Szybko go dosiadłam. Biodra uniosłam tak, że moja dziurka znalazła się dokładnie nad główką sterczącego penisa. Powoli przysiadłam, czując jak wnika we mnie.

– Czy tak? – zapytałam. – Czy to jest przekonywujące?

– To dobry początek – odpowiedział – ale myślę, że możemy jeszcze trochę ponegocjować.

– Dobrze. Co ty na to?

Zaczęłam kreślić biodrami łagodnie kółka tak, że czubek penisa tańczył u wejścia do mojej dziurki. Roan zamknął oczy i rozchylił usta.

– Zaczynam dostrzegać twój punkt widzenia – powiedział.

– To dobrze kochany, bo ja zaczynam czuć twój – odparłam.

Nie przestawałam pracować biodrami. Po chwili poczułam przenikający mnie członek. W pierwszym odruchu chciałam szybko go wchłonąć. Powstrzymałam się jednak, smakując powoli. Wiedziałam, że mój czas nadejdzie.

– Przysięgam – wycedził Roan przez zęby. – To ma sens! Zaczynam widzieć rzeczy w takim samym świetle co ty.

– Wiedziałam! Po prostu wiedziałam, że tak będzie.

Dotarliśmy do punktu, w którym żadne z nas

nie mogło już dłużej wytrzymać napięcia. Zwiększyłam tempo ruchów zataczając nierówne kółka, aż poczułam go całego wewnątrz siebie, a włosy na moim łonie przylgnęły do ciała Roana. Nie przestawaliśmy, aż nadeszła seria następujących po sobie orgazmów, które pozbawiły nas tchu. Lecz i wtedy nie ustaliśmy, przeciągając igraszki aż do świtu. Gdy pierwsze promienie słońca wyzłociły góry, Jacobson pocałował mnie w rękę.

– Wiesz – powiedział – zaczyna mi się podobać nasze partnerstwo.

– Jeśli o mnie chodzi, kochanie – odparłam – już mi się dawno podoba.

ROZDZIAŁ IV

Dwa dni później wróciłam do Nowego Jorku. Natychmiast wpadłam w wir pracy. Jednak wspomnienie Cold Springs i cudownych chwil z Roanem towarzyszyły mi podczas spotkań, obiadów u Pricea, kolacji u Jillii. Moje życie było mniej więcej takie samo jak wcześniej, z tą różnicą, że teraz pielęgnowałam w sobie wspomnienia z wakacji. Dodatkowo podniecała mnie sprawa międzynarodowego piractwa.

Muszę tu coś wyjaśnić. Nie pracowałam zawodowo z tych samych powodów co większość ludzi. Ojciec zostawił mi wystarczająco dużo pieniędzy i nawet, gdybym żyła cztery czy pięć razy dłużej niż normalny człowiek, nie zdołałabym ich wydać. Pracowałam nie z potrzeby, a z miłości. Proces publikowania, przemieniania idei w kolor i druk i rozprzestrzeniania informacji, fascynował mnie. Kiedy rutyna i nawał pracy zaczynały mnie męczyć, stawiałam sobie jakieś niezwykle zadanie. I dlatego miałam okazję przebywać wśród poszukiwaczy szafirów w Brazylii, w tajnych wytwórniach kokainy w Bangkoku. Widziałam koronacje, pogrzeby głów państwa i mnóstwo ślubów ważnych osobistości.

Teraz znowu chciałam być czynnym reporterem. Jak zwykle w takich wypadkach wezwał do siebie wszystkich redaktorów. Zastali mnie

siedzącą przy biurku i pogrążoną w rozmyślnościach.

– O! – powiedział Malcolm Gold, mój redaktor naczelny. – Wygląda na to, że masz kłopoty.

– Dlaczego, Malcolm? – zapytałam spokojnie, udając zdziwienie. – Co masz na myśli?

Malcolm i ja byliśmy przyjaciółmi i rozumieliśmy się doskonale. Oboje wiedzieliśmy, co oznacza moja bezczynność.

– Znów dopadłaś do jakiejś nieczystej historii? – zapytał ironicznie.

– Malcolm, mój przyjacielu – odburknęłam – tylko spokojnie.

Po chwili przybyli pozostali moi redaktorzy, a po ich minach rozpoznałam, że czegoś się domyślają.

– Znów wyjeżdżasz? – zapytała Mercedes Sloan. – Ile to będzie tym razem kosztowało?

– Mercedes – zaznaczyłam – muszę ci znowu przypomnieć, że moje małe wycieczki nie należą do działu sprzedaży...

– Amen! – przerwała mi. – Koszty ostatniej wyniosły sześć tysięcy.

– Ale w rezultacie tej wyprawy sprzedaliśmy sześć milionów egzemplarzy numeru, w którym publikowaliśmy artykuł o Arrow. Joe – spojrzałam na siedzącego obok kolegę – jaki jest teraz przeciętny nakład?

– Około czterech milionów – odpowiedział.

– A więc – rzekłam – ile wynosi nasz średni zysk od sprzedanego egzemplarza?

– Pięćdziesiąt dwa centy. Dobrze o tym wiesz – odparła Mercedes.

– Policzmy – kontynuowałam. – Dwa miliony ponad średni zysk...

Ostentacyjnie wyjęłam kalkulator i zaczęłam liczyć.

– Nie musisz tego robić, Krystyno – przerwała. – W rezultacie zarobiliśmy dodatkowo milion czterysta tysięcy dolarów.

– Punkt dla mnie – ucieszyłam się.

– Co to za nowa historia? – zapytał Carson Christopher, jeden z moich redaktorów. Miał dwadzieścia pięć lat, czyli o dwa lata mniej niż ja. Był błyskotliwy i bezwzględny. Miał niezawodne wyczucie sensacyjnych wiadomości. Przeważnie zanim rozpoczynałam jakiś temat, zasięgałam jego rady.

– Przepraszam – powiedziałam – nie było czasu, aby się z tobą porozumieć.

– W porządku, Krystyno – odparł – ja też nie zawsze informuję cię o swoich zamierzeniach.

Zignorowałam to stwierdzenie.

– To tyle wstępu – rzekłam. – Przejdźmy do konkretów. Podczas pobytu w Cold Springs spotkałam naszego dobrego znajomego dżentelmena o nazwisku Roan Jacobson.

Wszyscy spojrzeli na mnie zaskoczeni.

– Co? – zdziwił się Malcolm. – I nie masz obrażeń?

– Żadnych ran – odpowiedziałam. – Jeśli chodzi o ścisłość, mój kontakt fizyczny z panem Jacobsem nie był agresywny.

Moje oświadczenie wywołało serię pomruków. Znali mnie na tyle dobrze, że nie musiałam ukrywać moich romantycznych przygód. Zresztą nawet gdybym chciała, nie by z tego nie wyszło.

– A teraz – rzekłam – do rzeczy. Pan Jacobson ma o nas jak najlepsze zdanie. Zaskoczyło mnie to po tym, cośmy mu zrobili. Przekazał mi pewną oszałamiającą informację.

– Zamierza zużyć całą ropę na odtworzenie dinozaurów – próbował zgadywać Carson.

– Nie – odparłam. – Pan Jacobson padł ofiarą międzynarodowego piractwa.

– Ktoś ukradł mu telewizję kablową? – pytała zakłopotana Mercedes.

– No, cóż – mówiłam dalej – dziś, gdy słyszymy słowo „pirat”, większość z nas myśli o elektronice, telewizji lub transmisjach satelitarnych. To słowo, które zmieniło swoje znaczenie.

– Krystyno! – powiedział Malcolm. – Nie wstawiaj nam, że chcesz napisać artykuł o lingwistyce.

– Nie, przyjacielu – odparłam spokojnie. – O piractwie. Prawdziwym piractwie w starym stylu. O żeglarzach i całym tym kramie.

– Czy to ma coś wspólnego z narkotykami? –

zapytał Carson. – Tego już nikt nie czytuje – powątpiewał.

– To coś ważniejszego dla naszej ekonomii niż narkotyki.

– Naprawdę? Cóż to takiego? – dopytywał się.

– Ropa – powiedziałam. – Ci piraci działają na pełnym morzu. Kradną ropę wprost z super-tankowców.

– Niemożliwe! – Malcolm aż zatkało.

– Wiem, o czym myślisz. Jacobson nie ma powodu kłamać.

– Nie chodzi o ładunek – zaznaczył. – Wszystko można ukraść. Ale ten artykuł jest niemożliwy do napisania.

– Dlaczego? – zapytałam.

– Krystyno – przekonywał Malcolm. – Jesteś piękną, czarującą i wspaniałą reporterką. Ale nawet ty nie zdobędziesz potrzebnych informacji. Po pierwsze, możesz pływać na tankowcu przez resztę swojego życia i nie doświadczyć ataku piratów. Ocean jest ogromny i pływa po nim tysiące statków. A jeśli zechcesz ten artykuł pisać na łódce, to gdzie znajdziesz pirata, który chciałby o tym z tobą rozmawiać? Tym ludziom nie zależy na rozgłosie.

– Innymi słowy – podsumowałam – według ciebie to przedsięwzięcie jest nierealne?

– Innymi słowy – potwierdził Malcolm – ten artykuł jest niemożliwy od napisania.

– Dobrze – poniosło mnie. – Jutro rano wyjeżdżam.

Zebrani jak zwykle zareagowali kręceniem głowami i pomrukiem dezaprobaty.

– Jeśli nie ma innych spraw – dodałam beztrąsko – zebranie uważam za zakończone.

W czasie, gdy inni wychodzili, Malcolm został z tyłu udając, że czegoś szuka w teczce. Podniósł głowę, gdy wszyscy opuścili salę.

– Znam cię bardzo dobrze i wiem, że nie zmienisz zdania. Ale zrób mi przynajmniej jedną grzeczność – zagadnął.

– Oczywiście przyjacielu. O co chodzi?

– Bądź ostrożna – poprosił.

– Dlaczego Malcolmie? Nie wiedziałam, że tak interesuje cię moje bezpieczeństwo.

– Nie twoje – wyjaśnił. – „Worldu”. Pójdzie w diabły, jeśli nie będziesz go prowadziła.

Następnego ranka siedziałam w prywatnym samolocie na lotnisku La Guardia. Gdy tylko wystartowaliśmy, wygodnie oparłam głowę o siedzenie i zaczęłam rozmyślać nad swoimi postanowieniami.

Chociaż nie okazałam tego w czasie wczorajszego spotkania, przyznawałam Malcolmowi rację. Wiedziałam, że zdobycie materiałów nie będzie łatwe.

Nie mogłam oczekiwać, że skoro tylko wejde

na pokład tankowca, natychmiast pojawią się piraci. Nie wiedziałam też, jak do nich dotrzeć. Jedyną wskazówką, którą otrzymałam od Roana Jacobsona, było nazwisko faceta z Hartwich Ltd, największego światowego towarzystwa ubezpieczeń morskich. Ta wiadomość mogła stanowić początek moich poszukiwań.

Można by przypuszczać, że porwałam się z motyką na słońce. Ale przecież zbierałam już materiał do tematów trudnych.

Sześć godzin później wylądowałam na lotnisku Heathrow, gdzie czekał na mnie przedstawiciel Harwich. Wsiadliśmy do samochodu i pojechaliśmy do miasta. Był wrzesień. „Wtedy angielski krajobraz jest najpiękniejszy” – pomyślałam oglądając zieleń za oknami limuzyny.

Biura Harwich usytuowano w City, miejscu znanym już sześćset lat temu, gdy Londyn stanowiło kilka osad rozrzuconych na brzegach Tamizy. Wiedziałam, że City jest siedzibą rzeczywistej potęgi Anglii; mila kwadratowa, na której skupiła się większość poważnego biznesu.

Moja eskorta uprzejmie pomogła mi wysiąść z samochodu i przeprowadziła przez rzeką czarnych garniturów i meloników do siedziby towarzystwa. Przystanęliśmy przy windzie.

– Chce się pani widzieć z panem Crewesem? To ósme piętro – poinformował mnie przedstawiciel spółki.

Gdy winda zjechała, wszłam do środka, a mój opiekun powiedział:

– Nie pojedę z panią. Pan Crewes zwykł sam przyjmować swoich klientów.

Zanim dobrnęłam do celu, musiałam przejść przez skomplikowaną aparaturę do prześwietleń. Już obok stała ponura kobieta, która sprawdziła moją torebkę i ubranie.

– W porządku – zażartowałam – to złamanie, czy tylko zwichnięcie?

Kobieta zignorowała moją uwagę.

– Może pani wejść – stwierdziła.

Podeszłam do drzwi, na których wisiała prosta tabliczka z napisem: „Colin Crewes”. Znałam obyczaje świata biznesu i wiedziałam, że im prostsza wizytówka, tym bardziej wpływowego człowieka. Mówiła ona więcej niż wszystkie tytuły.

Crewes był atletycznie zbudowanym, przystojnym blondynem o niepokojąco niebieskich oczach. Przypominał gwiazdę piłki nożnej. Gdy wszłam hawił się miniaturową koszykówką. Ponieważ nie dostrzegł mojej obecności, chrząknęłam.

– O, panna van Bell – powiedział. – Przepraszam, nie zauważyłem, że pani już jest.

Z uśmiechem podał mi rękę mierząc mnie wzrokiem.

– Cała przyjemność po mojej stronie – rzekłam i pomyślałam: „lub dopiero będzie. Nie przypuszczałam, że jesteś tak atrakcyjnym mężczyzną”.

– Proszę usiąść!

Wskazał mi zabytkową sofę na środku biura. Kiedy usiadłam, wrócił do swojej zabawy mówiąc:

– Myślę, że rozczaruję panią. Nie mam zbyt wielu informacji. Przede wszystkim musi pani wiedzieć, że ten kłopot ma nie tylko pan Jacobson. Muszę przyznać, że to prawdziwa epidemia...

– Ma pan na myśli... – zaczęłam.

– Sądzę, że proceder ten ma zasięg światowy.

– Spojrzał na mnie. – Żaden tankowiec nie jest dzisiaj bezpieczny.

Wyjęłam notatnik i zaczęłam pisać.

– Wolałbym, aby teraz pani tego nie robiła.

Proszę na razie tylko słuchać – rzekł.

Zamknęłam i odłożyłam notatnik. Wiedziałam, że i tak zapamiętam wszystko.

– O jakie straty chodzi? – zapytałam. – Jak każdy reporter chciałam dysponować liczbami.

– W ostatnim roku – ciągnął – Harwich wypłaciło towarzystwom naftowym siedemset milionów dolarów odszkodowań, z tego pięćset milionów z powodu kradzieży na morzu.

Aż gwizdnęłam, słysząc te liczby.

– Nie muszę pani mówić, że chociaż osiągnęliśmy również zysk niespotykany w historii naszego towarzystwa, to nie podoba nam się ta sytuacja. Ani towarzystwom naftowym, ani armatorom.

– Wyobrażam sobie – powiedziałam. – Czy jest jakiś ogólny scenariusz tych kradzieży?

– Tak – odparł. – Tankowce wypływają z portu pełne i sprawne. Wszystko rozgrywa się w ciągu kilku dni. Tracimy kontakt radiowy z zaatakowanym statkiem. Załoga najczęściej zostaje uratowana przez jakiś inny statek, zabrana z łodzi ratunkowych. Około tygodnia później znajdujemy samotnie dryfujący pusty tankowiec. Można by go nazwać tankowcem-widmem, płynącym z ładunkiem duchów.

– Ale załogi musiały powiedzieć coś o tych zdarzeniach – dociekałam. – W jaki sposób marynarze zostali zmuszeni do opuszczenia pokładu?

– Oczywiście – pokiwał głową. – Zostali zbudzeni w środku nocy przez uzbrojonych ludzi, zapędzeni do szalup i opuszczeni na wodę. Wszyscy: kapitan, oficerowie, załoga.

– A ochrona? – zapytałam niedowierzająco.

– Towarzystwa ubezpieczeniowe zaczęły przydzielać na tankowce zbrojną ochronę jakieś sześć miesięcy temu. Jak dotąd niewiele to pomogło. Ludzie z ochrony zostają zaskoczeni podobnie jak reszta.

– To interesujące. I tajemnicze – powiedziałam coraz bardziej zaintrygowana.

– Właśnie. Niestety to wszystko, co mogę powiedzieć – zakończył opowiadanie Crewes.

– Niewiele.

– Panno van Bell – znów spojrzał na mnie

zimno. – Muszę coś pani wyjaśnić. Nie popieram zdania pana Jacobsona, że trzeba temu faktowi nadać rozgłos. Robimy, co możemy. Nie sądzę, aby artykuł nam pomógł. Nie pomoże nam też działalność reportera. Szczególnie tak pięknego i utalentowanego, jak pani. Oczywiście nie chcę pani urazić.

– Która część pana wypowiedzi miała mnie dotknąć, „piękna” czy „utalentowana”? – zagadnęłam kokieteryjnie.

Uśmiechnął się po raz pierwszy od początku naszej rozmowy. Stał się taki, jakim widziałam go od początku; wspaniałym okazem samca. Spojrzałam mu w oczy i też odpowiedziałam uśmiechem.

– Może zechce pani zjeść ze mną obiad? – zaproponował.

– Czy to znaczy, że mój wywiad dobiegł końca? – zapytałam.

– Niestety, nic więcej nie jestem w stanie pani powiedzieć. Nic oficjalnie – odparł. Poprowadził mnie w kierunku drzwi.

– Ale moglibyśmy porozmawiać, że tak powiem, na stopie towarzyskiej.

– Moglibyśmy – przytaknęłam. – Ale jeszcze jedno pytanie: Czym pan się zajmuje?

– Szukam rozwiązań – odpowiedział. Przystaliśmy przy windzie.

– W porządku. A więc proszę rozwiązać i mój kłopot. Proszę mi pomóc wydostać się stąd – zaproponowałam z ironicznym uśmieszkiem.

– Z przyjemnością – odparł.

Nacisnął przycisk i wprowadził mnie do windy, gdy nadjechała. Kiedy byliśmy już w środku, zaczął dotykać moich piersi. Udawałam, że tego nie zauważam mimo, że przeszył mnie znajomy dreszcz.

– Tak – stwierdziłam – rzeczywiście powie-działeś mi niewiele.

Nie bardzo wiedziałam, o czym z nim mówić. Nie spotkałam dotąd nikogo o takim spojrzeniu. Byłam jak zahipnotyzowana, a moje ciało powoli budziło się.

– Właśnie myślałem, czy nie zechciałabyś wysłuchać kilku uzupełnień... – rzekł półgłosem.

Objęłam go za szyję.

– Chciałabym, kochanie – odparłam – chcia-labym.

Bez namysłu zatrzymał windę na półpiętrze. Drzwi pozostały zamknięte.

– Czy to nie spowoduje alarmu? – zapytałam.

– Nie. To jest moja prywatna winda.

Objął mnie i zaczął przesuwac rękoma po plecach i biodrach. Moje sutki zaczęły twardnieć. Ciało przeszzywał dreszcz podniecenia. Przytule-ni złączyliśmy się mocnym, długim pocałunkiem. Dłoniami przeczesywałam jego włosy, mój język wirował dążąc do osiągnięcia przyjemności.

– Kochanie – powiedziałam – czy jesteś wstydlivy?

– Chyba nie... – wymamrotał.

Przycisnął mnie mocniej. Wiedziałam, że nie mamy zbyt dużo czasu. W każdej chwili mogliśmy usłyszeć głosy domagające się opuszczenia windy. Niecierpliwość podziałała tak silnie, że byłam wilgotna i gotowa na rozpoczęcie gry.

Od dawna wiedziałam, że jest coś podniecającego w uprawianiu miłości w dziwnych sytuacjach, nieoczekiwanych miejscach i czasie. Kochałam się już w ławkach niezliczonych kościo-łów, w łazienkach, samochodach, w pociągach, na tylnych siedzeniach taksówek. Odbywałam stosunki z mężczyznami w miejscach publicznych: siedząc facetowi na kolanach w czasie meczu hokejowego czy na zatłoczonej podłodze dyskoteki. Ponieważ w tych wypadkach istotna jest szybkość, nauczyłam swoje ciało natychmiastowej reakcji i potrzebowałam tylko kilku krótkich zabiegów wstępnych, aby osiągnąć pełną gotowość.

Zamykając oczy i koncentrując się osiągnęłam stan, w którym fizycznie czułam pieścące mnie ręce czy główkę członka masującą wejście do mojej pochwy. W sprzyjających okolicznościach, w ciszy i spokoju, mogłam osiągnąć orgazm tylko przez położenie palców na moim intymnym miejscu.

Na szczęście ta sytuacja nie była ekstremalna. Trzymał mnie w ramionach realny mężczyzna.

– Jesteś zadowolony, kochanie? – zapytałam.

– To miłe, naprawdę miłe – wyszeptał.

– A teraz?

Przesunęłam ręce w dół jego umięśnionego brzucha, masując go delikatnie.

– Mmmm. Bardzo miłe – pomrukiwał zadowolony.

– A to?

Odpięłam szybko zamek i zsunęłam spodnie pozwalając penisowi wystrzelić na zewnątrz.

– Dobrze – zaśmiał się. – Dobrze!

Zacząłam całować jego piersi i brzuch. Przykucnęłam na podłodze i wzięłam do ust twardej części członka. Delikatnie zacisnęłam wargi.

– O właśnie tak! – krzyknął.

Zaczął poruszać biodrami, a ja coraz głębiej wciągałam jego penis.

– Tak, skarbie.

Mocniej zacisnęłam wargi, wciągając go, aż wszedł prawie cały. Jednocześnie delikatnie pieściłam spód moszny. Colin zaczął gwałtownie rzucać się, wpychając swój członek do moich ust we wzrastającym podnieceniu.

– To wspaniałe! – jęczał. – Nie przerywaj!

Nie miałam takiego zamiaru. Nie przerywałam swojej pracy poruszając głową w tył i w przód, w rytm ruchów jego bioder. Doprowadziłam go prawie do szaleństwa.

– Tak... o, tak... to cudowne... wspaniałe... ssij, Krystyno, ssij... – jęczał.

Jego szła spowodował, że przez chwilę utraciłam kontrolę nad sytuacją. Nie chciałam, aby to

się tak skończyło. Przestałam, kiedy wyczułam, że nadchodzi orgazm.

– Co do licha?

– A teraz kochany – nie pozwoliłam mu dookończyć – na ciebie kolej!

– No to dalej! Na co jeszcze czekasz – rzekł rozbawiony.

Zdecydowanym ruchem podniosłam spódnice i zdjęłam majtki. Patrzył na mnie z podziwem. Otoczyłam go nogami w pasie tak, że otworek mojej dziurki znalazł się dokładnie przy główce penisa. Wzięłam go w siebie.

– Och! – westchnęłam – tak... to jest to czego chcę.

Wykonywaliśmy rytmiczne ruchy: w górę i w dół, w górę i w dół. Ale w momencie, gdy poczułam nadchodzący orgazm, Colin przerwał. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że się śmieje.

– No dalej! – zawołałam niezadowolona. – Bez głupich kawałów.

– Nie żartuję, kochanie – powiedział. – Pomyślałem tylko: mamy tu te wszystkie cudowne elektroniczne urządzenia, to czemu sami się męczymy.

– O czym ty mówisz? – pytałam zdziwiona.

– O tym.

Wyciągnął rękę ku tablicy rozdzielczej i nacisnął przycisk w „dół”. Szybkość, z jaką winda zaczęła zjeżdżać sprawiła, że wysunęłam się. Potem przycisnął w „górze” i siła pędu wcisnęła mnie z powrotem.

– Kochany – zamruczałam. – Jakiś ty sprytny...

Jaka wspaniała odmiana! Szybko złapałam rytm windy i w efekcie ona pracowała za nas.

Wciąż w górę i w dół, w górę i w dół, żadnych myśli, cała uwaga skoncentrowana na punktach zetknięcia się naszych ciał. Aż do chwili...

– Och! Ukochany, to już blisko!... – wykrzyknęłam w ekstazie.

– Tak, moja droga... – szeptał Colin. – Teraz!

Zamknęłam oczy i zacisnęłam zęby. Fala dreszczy przepływała przez moje ciało. Jednocześnie czułam w sobie jego pulsowanie.

Kompletnie wyczerpani opadliśmy na podłogę windy. Przypomniałam sobie sprawczą siłę naszej ekstazy i wybuchnęłam śmiechem.

– Co w tym zabawnego? – zapytał zaciękawiony Colin.

– Skarbie – wykrztusiłam ze śmiechem – jeżeli taką samą inwencję wykazujesz przy rozwiązywaniu problemów to...

– To co? – przerwał mi.

– To możesz rozwiązywać moje problemy, kiedy zechcesz – dokończyłam.

Planowałam nocować w hotelu, ale Colin nie chciał o tym słyszeć. Nalegał, abym pojechała z nim. Jego dom okazał się wspaniałą rezydencją położoną blisko siedziby premiera. Wstąpiliśmy

do barku, przez chwilę gawędziliśmy nad kieliszkiem napoleona. Chciałam wyciągnąć z niego więcej informacji o piractwie, ale chyba naprawdę nic nie wiedział.

Po pół godzinie koniak zaczął działać. Milcząc patrzyliśmy na siebie. W końcu uśmiechnął się.

– Co byś powiedziała na chwilkę ćwiczeń? – zapytał.

– Nasze metody były oznaką rozleniwienia, czy tak? – odpowiedziałam z uśmiechem.

– Też tak myślę. Ale można to naprawić. Chodź ze mną.

Wziął mnie za rękę i poprowadził do pomieszczenia w drugim końcu hallu. Kiedy weszłam do środka zobaczyłam, że to prawdziwa, wspaniale wyposażona sala gimnastyczna.

– A więc, skarbie – powiedziałam – nie żartowałeś.

Nie powinno mnie to dziwić. Jego mięśnie i wspaniała budowa nie ukształtowały się przecież przy czytaniu raportów i przesuwanie papierów po biurku.

– Znasz siłownię? – zagadnął.

– Widziałam reklamy – wyjaśniłam.

Mój przyjaciel próbował mnie kiedyś na to namówić. Nie chciałam. Nie lubię ćwiczeń dla samych ćwiczeń. Wolę gry, gdzie można wygrać lub przegrać. Są bardziej potrzebne do życia. Czułam jednak, że gimnastyka jest pasją Colina i jeśli

chciałam jego współpracy, powinnam pójść na kompromis. A poza tym muszę wszystkiego spróbować.

Dał mi jakiś zupełnie nietwarzowy strój i zaczęliśmy ćwiczenia po kolei na każdym z aparatów. Kiedy skończyłam, ogarnęło mnie wspaniałe uczucie. Czułam, że jestem rześka, sprawna i podniecona. Colin musiał podobnie odczuwać, gdyż patrzył na mnie w ten sposób jak w windzie.

– A teraz – rzekł ciepło – trochę wariacji.

Zupełnie nie miałam pojęcia, o czym mówi. Myślałam, że ma na myśli igraszki pod prysznicem lub małą wycieczkę do sypialni.

Colin zaprowadził mnie ponownie do jednego z tych urządzeń. Było to po prostu krzesło pochylone pod kątem czterdziestu pięciu stopni z prętami po obu stronach. Popychanie tego siedzenia miało rozwijać mięśnie klatki piersiowej.

– Tutaj – powiedział. – Chce, abyś tego spróbowała.

Usiadłam, biorąc pręty w obie ręce. Colin usiadł mi okrakiem na kolanach, kładąc ręce na moich piersiach.

– Kochanie – patrzyłam zdziwiona – co masz zamiar robić?

– Nic nie mów. Po prostu pchaj – odparł krótko.

Właściwie nie miałam nic przeciwko temu i zaczęłam pchać. Robiąc to, poczułam jak piersi twardnieją mi pod jego dłońmi. To uczucie nie było podobne do żadnego innego.

– Mmm – zauważyłam – to fantastyczne!

– Nie przerywaj. Pchaj! – ponaglał.

Pozwoliłam prętom wrócić i ponownie pchnęłam znów, i moje piersi powtórnie odpowiedziały na dotyk dłoni. Twarde sutki sterczały prosto i dumnie. Ku mojemu zdziwieniu podniecenie rosło coraz bardziej.

– Pchaj – polecił.

Nie musiał mi przypominać. Porwana emocjami ćwiczyłam jak oszalała. Powtarzałam ruchy aż do utraty sił.

– Kochany... – dyszałam – co za wspaniałe ćwiczenie!

– Dopiero zaczęliśmy – powiedział. – Myślę, że inne bardziej będą ci się podobać.

Zaprowadził mnie do kolejnego urządzenia. Posadził i znów usiadł na moich kolanach. Tym razem zdjął górną część mojego kostiumu i przycisnął usta do nagich piersi, pieścił je i całował. Ogarnęło mnie cudowne uczucie.

– O tak, kochany... – mruczałam.

Połączenie ćwiczenia i pieszczot było niesamowite. Ćwiczyłam aż do wyczerpania.

– Dobrze – przerwał ćwiczenie Colin. – Ale to nie koniec – dodał.

– Nie? – zapytałam ochoczo. – A co będzie jeszcze?

– Chyba nie myślałaś, że na tym poprzestanę. Chodź tu. To przyrząd do wzmocniania mięśni nóg.

Położyłam się na plecach i zahaczyłam nogi o ciężarek. Zaczęłam podciągać je do klatki piersiowej. Colin rozpiął do końca mój kostium i odrzucił.

– Tak, kochany – westchnęłam. – Chcę być naga dla ciebie.

Szybko zsunął szorty. Jego penis wystrzelił, celując we mnie. Usiadł z tyłu moich kolan, rozsunął uda i ułożył członek u wyjścia do mojej dziurki. Była już wilgotna i otwarta na jego przyjęcie.

– O tak, najdroższy... – szeptałam – weź mnie...

– Ciągnij! – rozkazał mi.

Pociągnęłam. Siła ruchu sprawiła, że pośladki rozsunęły się i penis gładko wszedł w głąb.

– Och, to cudowne! – Westchnęłam.

– Odpocznij! – polecił.

Pozwoliłam ciężarkowi odciągnąć nogi. Czulałam jak członek wychodzi.

– A teraz znów ciągnij – rozkazał.

Powtórnie poczułam jak wchodzi we mnie. Rozszerzyłam mięśnie, aby przyjąć go jak najszybciej.

– O tak... – krzyczałam – O tak!

– Opuść! Teraz ciągnij.

– Tak Colinie. Och, to cudowne mieć cię w środku... – jęczałam.

Pracowaliśmy pojękując. Gładko wsuwał się i wysuwał się, a moje pośladki podnosiły się i opadały.

– Najdroższy, proszę... – jęczałam – proszę, nie przestawaj...

– Spokojnie, kochana – wyszeptał – nie przestanę... tylko ciągnij... ciągnij...

Nie czułam zmęczenia, nie czułam bólu mięśni. Wszystko, co mogłam robić to ciągnąć... odpoczywać... ciągnąć... odpoczywać...

Powoli nadchodziła rozkosz. Kiedy nastąpiła, poruszyła każdy mój mięsień – ramiona, piersi, wszystko, jak gdyby seks i ćwiczenia połączyły się w jeden akt. Krzyczeliśmy w ekstazie.

Później, gdy napięcie minęło, wyciągnęłam rękę. Natrafiłam na pustkę. Colin robił przysiady w kącie sali.

– Boże! – jęknęłam – ty nigdy nie przestajesz?

– Muszę być w formie, nie? – odpowiedział. – Skąd mogę wiedzieć, kiedy wrócisz?

– Kochany – rzekłam radośnie. – Jeśli pozostaniesz w takiej formie, to nigdy się mnie nie pozbędziesz.

ROZDZIAŁ V

Następnego ranka po wspaniałym śniadaniu jeszcze raz wróciłam do problemu piractwa. Miałam nadzieję, że nasze nowe stosunki zmiękczą go. Jednak Colin po mistrzowsku oddzielał przyjemność i pracę. Zareagował tak samo jak wczoraj, gdy po raz pierwszy wypytywałam go w tej sprawie.

– Przepraszam – rzekł – mówiłem ci już, co o tym sądzę. Nie mogę tego zmienić. Zrozum, to są interesy.

W jego głosie dosłyszałam nutę, której nie było, gdy odmawiał mi wczoraj. Postanowiłam wykorzystać każdą, nawet najmniejszą możliwość.

– Rozumiem – odparłam zimno. Wstałam i wzięłam torebkę. – A więc do zobaczenia.

– Po co ten pośpiech? – zapytał z niepokojem.

– Nie tylko ty masz interesy – odpowiedziałam. – Nie tylko ty możesz mi pomóc... – w interesach czy przyjemnościach.

– W porządku – odezwał się. – Znasz moje stanowisko i nie mogę go zmienić. Ale wyjawię ci nazwisko kogoś, kto sporo wie na interesujący cię temat. I być może zechce z tobą porozmawiać. Nie daję wprawdzie na to gwarancji, ale to niewykluczone.

– Cóż to za tajemnicza osoba? – zagadnęłam.

– Sir John Drury.

Oczywiście od razu rozpoznałam nazwisko. Wiedziałam, że jestem na dobrej drodze. W świecie biznesu Sir John Drury to człowiek-legendą. Ktoś, kto kontroluje przemysł okrętowy. Nazywano go „Ostatnią wyspą Imperium Brytyjskiego”. Drury, posiadając sześćdziesiąt procent tonażu supertankowców i dwadzieścia pięć procent udziałów w innych, jest zainteresowany piractwem. Ale podobnie jak Jacobson nienawidził prasy. Podzieliłam się swoimi wątpliwościami z Colinem. Przytaknął.

– Zaznaczyłem, że nie mogę ci niczego obiecać. Możesz tylko stracić czas.

– Jak się z nim skontaktować? – zapytałam.

– Mieszka w Dorset. Zawieź cię tam?

Chciałam. Colin szybko zatelefonował, a potem wrócił do kuchni.

– Załatwione – powiedział. Sir John nas oczekuje.

Wyszliśmy. Colin wyprowadził swojego releya. Samochód wyglądał wspaniale. Opuściliśmy Londyn, kierując się na południowy zachód, do Dorset.

Colin prowadził, opowiadając mi o Sir Johnie tak szczegółowo, że przypuszczałam, że są dobrymi przyjaciółmi.

– Musisz wiedzieć, że są dwie rzeczy, o których nie wolno ci z nim rozmawiać – ciągnął. – To brytyjska polityka i sztuka.

– Dlaczego? – spytałam nieco zdziwiona.
– Przez sześćset lat Drury'owie byli parami Anglii. Zanim nie nadszedł Sir John – wyjaśnił Colin.

– Co masz na myśli? – dociekałam.

– Sir John to bardzo polityczna bestia – opowiadał. – Jest radykalnym konserwatystą. Był przekonany, że kraj zmierza prosto do czegoś w rodzaju socjalistycznego piekła. Dziesięć lat temu oddał swoje miejsce w Izbie Lordów, a także swój tytuł, aby zasiąść w Izbie Gmin. Myślał, że to jedyna droga, aby zatrzymać stacanie się kraju ku przepaści.

– I co?

– Jakby to powiedzieć... – zaczął Colin.

– Nie dostał miejsca w Izbie Gmin i już po tytule. Tradycję diabli wzięli.

– Dokładnie – przytaknął. – Ludzie wciąż nazywają go Sir Johnem przez szacunek i wciąż posiada swoje rodzinne dobra, ale prawnie ma taki sam status, jak jego kierowca.

– To wyjaśnia jego niechęć do polityki – stwierdziłam – a co ze sztuką?

– Ach, to właśnie główna tragedia jego życia – westchnął Colin.

– To znaczy, że jest coś jeszcze bardziej tragicznego niż to, co przed chwilą usłyszałam?

– Oczywiście – odparł. – Dwadzieścia lat temu spotkał młodą artystkę z południowej Walii, dopiero co po szkole. Beznadziejnie ją pokochał

i... ożenił się z nią. Była śmiałą i niezależną młodą kobietą. Dobrze wiedziała, że Sir John nie akceptuje jej dotychczasowego stylu życia i nie miała pewności, czy sama zdoła przystosować się do innych warunków. Jednak chyba coś do niego czuła, bo postanowiła wyjść za niego. Pobrali się i mieli dwóch synów.

– Lecz to nie zdało egzaminu – dodałam.

– Nie – odparł – nie zdało. Ona starała się ze wszystkich sił. Dawała oficjalne herbatki, przyjęła arystokratyczne maniery. Ale przyjaciele i rodzina Sir Johna jej nie zaakceptowali. Wiedziała o tym i on również, ale nie chciał się z tym pogodzić. Był na tym punkcie przeczulony. Powiedział, że raczej zabije ich oboje niż ją straci.

– I jaki koniec miała ta historia? – zapytałam.

Żyli razem przez kilka lat. Oczywiście, to co na początku czuła do swego męża, przeistoczyło się w nienawiść. Najgorsze, że także synów nauczyła nienawidzić ojca. W końcu pewnego dnia wszyscy troje zniknęli. Sir John niemal zwaśniował. Wydał miliony na poszukiwania. Wynajmował najlepszych ludzi z wywiadu. Ale od tamtej pory nikt ich nie widział. Zniknęli bez śladu.

– A Sir John? – zagadnęłam.

– Doszedł do siebie. Ale nie sądzę, aby ustąpił i zrezygnował z poszukiwań.

To fascynująca historia, niczym z serialu telewizyjnego czy z powieści. Dla mnie najważniejsze było to, co wskazywało na charakter Sir Johna.

Już teraz miałam pewność, że jest on nie tylko potężny, ale i niebezpieczny. Postanowiłam uważać.

Resztę drogi odbyliśmy w milczeniu. W końcu Colin zjechał z autostrady i zatrzymał samochód przed wielką, kamienną bramą. Nie było na niej herbów ani tabliczki z napisem. Wcisnął guzik pod tablicą rozdzielczą i brama łagodnie otworzyła się. Musieli rzeczywiście być w bardzo dobrych stosunkach, skoro miał tu status domownika.

Dom Sir Johna stał na końcu długiej alei. Użyłam słowa dom, ale raczej należałoby powiedzieć dwór. Ten rodzaj pałacyku jest często spotykany w Anglii. Niestety, niewiele ich zostało w prywatnych rękach. Wiem to, przez lata próbowałam kupić taki dla siebie.

Kiedy zajechaliśmy przed budynek, ku mojemu zdziwieniu zobaczyłam człowieka, który czekał na nas. Spojrzałam na Colina.

– Lokaj? – zapytałam.

– Nie – odpowiedział z uśmiechem. – To Sir John.

Przedstawił mnie gospodarzowi. Popatrzyłam na Sir Johna uważnie. Widząc go na ulicy, nikt nie odgadłby, jakie ma ważne stanowisko. Był niski, puciołowaty i łysiejący. Wyglądał, jak ktoś żywcem wyjęty z książek Dickensa. W pierwszym porywie chciałam pocałować go w czubek

głowy i uściskać za wartości, które reprezentował.

Wymieniliśmy wstępne uprzejmości.

– Muszę wracać do Londynu. Zadzwoń po powrocie – powiedział Colin.

W chwilę później wsiadł do wozu i odjechał. Sir John prowadził mnie pod rękę w głąb domu. Nie wiem czemu, ale poczułam, że łączy nas jakaś nić porozumienia.

– Chodź – powiedział. Przeszliśmy przez wielki hall i salon, jak zauważyłam pozbawione obrazów.

– Pójdziemy do ogrodu – zaproponował. – Ten dom potrafi znużyć.

– O, nie sądzę – zaprotestowałam. – Dla mnie jest interesujący.

– No tak, ale ty tu nie mieszkasz.

W jego głosie było tyle smutku, że zrobiło mi się go żal. Nie mogłam tego okazać. Zdradziłabym, ile wiem o jego życiu.

Ogród naprawdę zapierał dech w piersiach. Komponował je i utrzymywał prawdziwy mistrz. Stały tam meble z kutego żelaza i poidełka dla ptaków. Rozmieszczono je tak, że ptaki i ludzie mogli cieszyć się swoją obecnością, nie przeszkadzając sobie nawzajem. Ten pomysł był tak wspaniały, że zachwyił mnie.

– To takie prawdziwe! – powiedział. – Wiesz, jesteś pierwszą osobą, która to zauważyła od czasu... od czasu innego mojego przyjaciela.

Oczywiście dobrze wiedziałam, o kim mówię. Nie chciałam jednak przypominać mu niczego z jego życia, kto wie, jak by zareagował.

Przyszłam tu jako reporter i miałam coś do zrobienia. Zanim jednak poruszyłam ten temat, on zrobił to za mnie.

– A więc – zagadnął – chcesz rozmawiać o piratach?

– Tak. Sądzę, że to zainteresuje naszych czytelników – odparłam.

– Nie wątpię – kontynuował. – Powiem ci; główny problem to ryby.

– Słucham?

– Możesz tego nie pamiętać, ale kilka lat temu wody terytorialne obejmowały tylko szesnastomilowy pas przybrzeżny. Resztę stanowiły wody eksterytorialne. Ponieważ nie istniały żadne umowy, co do ich patrolowania, tę funkcję wypełniały wielkie mocarstwa: zwykle Wielka Brytania lub USA, które współpracowały w utrzymaniu porządku i zwalczaniu bezprawia.

– A ryby? – nie rozumiałam związku.

– One to właśnie zmieniły – tłumaczył. – Aby wyżywić swoich ludzi i wygrać wyścig z krajami wysoko rozwiniętymi, niektóre z narodów Trzeciego Świata rozszerzyły swoje obszary wód połowowych. Pierwszy zrobił to Ekwador. Reszta szybko podchwyciła ten pomysł. Teraz wszystkie z nich mają wody terytorialne aż do trzystu mil. A to oznacza, że flota potęg

morskich nie może już ich patrolować. Nie chce ryzykować aresztowania swoich załóg i skonsfiskowania statków.

– A co z małymi krajami? – dociekałam. – Dlaczego nie mogą patrolować swoich wód?

– Jak sądzisz, ile kanonierek posiada flota nigeryjska?

– Bardzo mało.

– Dokładnie dwie. Na prawie pół miliona mil kwadratowych oceanu.

– Już wiem, w czym rzecz – rzekłam uradowana.

Spacerowaliśmy w milczeniu. Usiłowałam wszystko zapamiętać. Wiedziałam, że mogę użyć jeszcze więcej szczegółów. Teraz, przy naszym porozumieniu miałam wrażenie, że używam je w każdej chwili. Źródło tkwiło nie w Anglii, a na otwartym oceanie i w krajach, gdzie piraci mieli swoje bazy. Wcześniej czy później będą musiały zakończyć ten wstępny etap.

Właśnie miałam zacząć wypytywać dalej Sir Johna, gdy ten przystanął. Patrzył na mnie i dostrzegłam łzy w jego oczach.

– Boże – powiedział miękko i cicho – jesteś taka podobna do mojej...

– Twojej żony? – szepnęłam. Poczulałam się nieswojo, wyglądał na tak smutnego i zagubionego.

Słyszac to wyznanie zdziwią się ci, którzy mnie nie znają zbyt dobrze. Sposób, w jaki prowadzę interesy, wyrobił mi opinię kobiety zimnej,

o żelaznej woli. Ci, którzy znają moje życie seksualne, mogą sądzić, że jestem swawolną hedonistką, nie zwracającą uwagi na swojego partnera. Muszę przyznać, że moje zachowanie czasami rzeczywiście potwierdzało ten wizerunek. Kilku moich najbliższych przyjaciół z rozbraniem traktowało moją inną twarz. Wiedzieli, że mogę nieoczekiwanie stać się miękka jak masło, na widok czegoś tak banalnego jak lecący motyl. Kilka lat wcześniej byłabym zmartwiona tymi, jak sądziłam, oznakami słabości. Teraz zrozumiałam, że umiejętność odpowiadania na najsubtelniejsze uczucia, jest moją wielką siłą. Współczułam Sir Johnowi, spoglądał w moją stronę z tak wielką tęsknotą, że byłam poruszona do głębi serca.

– Taka podobna do niej... – powtórzył szepcąc. – Kochanie, czy lubisz gardenię?

– To są przepiękne kwiaty – wyznałam szczerze.

– A więc chodź ze mną!

Poprowadził mnie dalej ścieżką. Od razu zauważyłam, że przechodziliśmy przez nie uprawianą część ogrodu. Miejsce to było zarosnięte bluszczem, niemalże opanowane przez tę roślinę; na pewno nikt tu od dawna nie zaglądał. Sir John pokazywał mi drogę, rozsuwając zieloną ścieżkę.

Dotarliśmy do prawdziwego lasu gardenii. Rosły dziko, oplatały schody, ławki, a nawet sosny i topole. Wyglądały z każdego miejsca, rosły wszędzie. Miałam wrażenie, że jesteśmy w jakiejś

zapomnianej dżungli, a jakieś tajemne błogosławieństwo otacza to miejsce.

– Mój Boże – rzekłam – jakież to piękne!

– Tutaj – powiedział Sir John.

Zerwał jedną z gardenii i podał mi ją. Obracałam kwiat w palcach patrząc na jego delikatne płatki.

– To tutaj – powtórzył. – Weź drugą.

Zerwał następną i wpiął kwiat w moje włosy. W jego twarzy widziałam tęsknotę i miłość. Domyślałam się, że odtwarzał jedną ze scen swoich zalotów.

Znów zerwał gardenię. Zamiast wręczyć mi kwiat zaczął delikatnie przesuwać jego płatkami po moich policzkach, ustach i szyi. Ruchy miał łagodnie i wzruszające. Myślamy powędrował daleko, do przeszłości. Odnalazł we mnie duszę swojej żony.

– Proszę, zdejmij ubranie. Proszę!

Nie zdziwiło mnie to. Oczekiwałam takiej prośby. Nie potrafiłam mu odmówić. Nieoczekiwanie sama zaczęłam tęsknić za nim w taki sam sposób, jak on za mną.

Powoli rozpięłam guziki, jeden za drugim, jak we śnie. Sir John nieprzerwanie głaskał moją twarz gardenią. Przesuwał ją po powiekach i policzkach. Gdy kwiat dotknął mych ust, pocałowałam go z pasją zanurzając twarz w płatkach i chłonąc subtelny zapach.

– Tak... – pokiwał głową – Tak... tak właśnie!

Rozpięłam sukienkę do połowy. Sir John przesunął kwiat wzdłuż mojej szyi i niżej, wzdłuż odsłoniętego ciała. Dotknięcia roślinki były tak delikatne i łagodne, że moje ciało odpowiadało dreszczem przebudzenia.

– Jakie to piękne – szeptał. – Tak, bardzo, bardzo piękne...

Czułam drżenie jego ręki.

– Wszystko w porządku – uspokajałam go. – Wszystko w porządku. Wierz mi.

Spojrzał na mnie. Jednocześnie coś go zachwycało i przerażało. Tak, jakby romantyczny sem miał za chwilę zmienić się w koszmar.

– Tak właśnie powiedziała – wymamrotał.

Powoli zsunął sukienkę z moich ramion. Patrzył na mnie wzrokiem i gładził gardenię powierzchnię skóry. Kwiat zostawił na niej smugę pyłku, a ja drżałam z rosnącego podniecenia. Ściągnął jeden z rękawów odsłaniając nagą pierś.

– Piękne... – znów wyszeptał. – Doskonałe...

– Dotknij ich, skarbie – powiedziałam.

Przesunął delikatnie kwiat, aż na wzgórek piersi. Patrzyłam zafascynowana na kwiat pieszcząc skórę. Położyłam koniuszek palca na słupku, w sercu gardenii, zmuszając ją do zataczania kółek. Drugi palec ułożyłam pod sam sutek podnosząc go tak, że sterczał do góry.

– Tutaj – powiedziałam. – Dotknij tutaj.

Zareagował natychmiast i ciemniejszy sutek zniknął w drobnych platkach. Pod wpływem pic-

szcot mój owoc zaczął twardnieć. Przez ciało przebiegł ów szczególny dreszcz wywołujący zadowolenie.

– Tak – mruczałam – właśnie tak.

Zsunęłam drugi rękaw, pozwalając sukience opaść na biodra i odsłonić obie piersi.

Mężczyzna sięgnął po gardenię tkwiącą w moich włosach i dotknął nią drugiej piersi. Obracał oba kwiaty nagłymi ruchami. Piersi aż bolały od rosnącego podniecenia. To była powolna, cudowna tortura. Wkrótce obie moje dłonie podtrzymywały piersi, wypychając je, gniotąc i masując. Byłam oszalała z pożądania.

– Och! – jęczałam. – Tak bardzo cię pragnę...

Nie odpowiedział. Piersi miałam obolałe, a ciało powoli rozpałał ogień. Spod przymkniętych powiek widziałam, że Sir John podszedł bliżej. Pocażłam, że całuje mnie w szyję.

– O, tak. Kochany, o tak.

Szeptałam drżąc z podniecenia pod wpływem dotyku jego warg.

– Właśnie tak... – powiedział. – Ta sama szyja... ten sam smak...

Jeden z kwiatów powędrował na mój nagi brzuch. Gdy poczułam, że kieruje się dalej, zakręciłam biodrami i sukienka opadła na ziemię. Zrobiłam krok do tyłu i otworzyłam oczy. Sir John z uwielbieniem wpatrywał się w złoty trójkąt kędzierzawego futerka.

– Bogini... – wyszeptał.

Czulam się trochę zawstydzona. Ale potrafiłam przyjmować i akceptować to, co nadchodzi, a podziw mężczyzny podniecał mnie. W głębi serca każda kobieta chce być boginią i nie ma nic złego w odegraniu jej roli, jeśli nadarza się taka okazja.

– Jestem twoja – odrzekłam.

Ukłęknałam i delikatnie rozsunął moje nogi. Zaczął gładzić kwiatami wnętrze ud. Przesuwał je w górę, docierając do futerka otaczającego szczelinkę.

– Hmm – szeptałam. – To cudowne!

Powtarzał kilkakrotnie tę pieśczętę, za każdym razem zatrzymując się przed osiągnięciem celu. Drażnił najskrytsze nerwy mego ciała. Wiedziałam, że muszę go mieć, albo coś zastępczego. Chyba dostrzegł moją rosnącą niecierpliwość. Jakby w odpowiedzi, przesunął kwiaty w górę i delikatnie rozchylił wilgotne już wargi. Drżenie rozkoszy przemknęło przez moje ciało, gdy łagodne jesienne powietrze dotarło do tego intymnego miejsca.

Ale było ono niczym w porównaniu z następnym odczuciem. Sir John wbił gardenię na całą długość w moje wnętrze, wilgotne i drżące z ochoty.

– Och! – krzyknęłam.

– Jeszcze? – zapytał.

– Tak! Tak, kochany! Zrób to jeszcze raz.

I znów wsunął kwiat w mój pączek miłości.

– Jeszcze? – zapytał.

– Jeszcze! – zawołałam.

Ponownie przesunął kwiat, podczas gdy ja krzyczałam w nieopisanej rozkoszy. Każde następne dotknięcie było silniejsze.

– Och, tak... kochany, nie ustawaj!

– Jesteś zadowolona? Zawsze to lubiłaś, nieprawdaż? O tak, zawsze...

Najwidoczniej utożsamiał mnie ze swoją żoną. Kochał się nie ze mną, a z nią. Nie obchodziło mnie to. Byłam pogrążona w tej niezwyklej, ekscytującej miłości i straciłam poczucie czasu i miejsca.

Byłam tak zahipnotyzowana, że nawet nie zauważyłam, kiedy kwiat został zastąpiony wilgotnym i gładkim językiem Sir Johna.

– Mój Boże! – jęczałam. – O tak, całuj mnie... pieść mnie...

Zwiększył nacisk i tempo uderzeń języka. Wiedziałam, że dłużej już nie wytrzymam tej cudownej tortury. W końcu nadszedł orgazm. Opadłam na trawę. Po chwili ujrzałam zmienioną twarz Sir Johna.

– Kochany – wyszeptałam. – To było po prostu wspaniałe!

– Ona też to lubiła – odpowiedział – To mój wynalazek.

Miał dumną minę, jak chłopiec, który dostał nową zabawkę.

– Ale skarbie, można się w to bawić we dwoje, wiesz – zamruczałam kusząco.

– Jak? – udał zaskoczenie.

– Teraz moja kolej – odparłam. – Bądź do-
brym chłopcem i zdejmij spodnie.

Nie musiałam tego powtarzać. Wstał i szybko
rozpiął zamek. Jego na wpół obudzony penis wy-
rzał na światło dzienne.

– Teraz kochanie – powiedziałam – zobaczysz
to, co w Stanach nazywamy „wet za wet”.

Podszedł i położył się na trawie.

Wzięłam pełną garść płatków gardenii i przy-
warłam do mojego kochanka w długim, gorącym
pocałunku. Przeciągnęłam dłonią pełną płatków
wokół budzącego się członka. Zaczęłam go draż-
nić. Czułam ruch mięśni, jak twardnieją pod mo-
im dotykiem.

– O moja bogini! – krzyknął Sir John. – Jakie
to niezwykle!

Nie przerywałam pieszczot i w niedługim cza-
sie osiągnął pełną erekcję. Rozciągnął się napi-
nając mięśnie i poddając się mojemu dotykowi.
Na czole i w pobliżu ust Sir Johna wystąpiły krop-
pelki potu. Poruszał biodrami w rytm mojego
masażu.

– Moja droga... – jęczał. – O, moja kochana...

– Co czujesz? – zapytałam.

– Cudownie... po prostu cudownie...

– A teraz? – lekko ścisnęłam jego jądra.

– O tak! – krzyknął.

– A teraz?

– Tak!

– Teraz? – ucisk był mocniejszy.

– Tak!

Wił się i skręcał na trawie wypychając biodra
w kierunku mojej ręki. Jęczał z rozkoszy nadcho-
dzącego orgazmu. Moje podniecenie również
rosło.

Nie mogłam już tego znieść. Przyciągnęłam
go tak, że usiadł i wtedy szybkim, pewnym ru-
chem dosiadłam go. Czułam, jak wślizguje się we
mnie. W chwilę później zaczęliśmy poruszać się
we wściekłym tempie. Po kilku chwilach docho-
dziliśmy do końca, walcząc w chmurze płatków
gardenii. Wreszcie padliśmy sobie w ramiona,
rozradowani i szczęśliwi.

Tego wieczoru zjedliśmy „oszukaną”, jak ją
nazwał Sir John, kolację, złożoną z gęsi z wiśnia-
mi i ryżu. Potem znów zaczęliśmy rozmawiać
o piractwie.

– Wiesz – powiedział. – Chciałbym, aby ci lu-
dzie byli terrorystami. Podziwiam ludzi o silnych
politycznych poglądach, nawet gdy są one prze-
ciwne niż moje.

– A skąd wiesz, że nimi nie są? – zapytałam.

– Jak możesz sobie pewnie wyobrazić – kon-
tinuował – śledzę uważnie działalność terrory-
stów na całym świecie. Jeśli ci piraci mieliby z ni-
mi jakieś związki, to jestem pewien, że pieniądze
pozyskane z ropy, gdzieś by wypłynęły. Terrory-

ści mieliby więcej broni, byłoby mniej napadów na banki.

– Ale nie ma? – zgadywałam.

Pokiwał głową.

– Na nieszczęście nie. Sądzę, że piraci są zainteresowani tylko własnym zyskiem.

– Czy dla ciebie byłoby lepiej, gdyby piraci okazali się terrorystami? – zapytałam. – Nie widzę różnicy.

– Jest wielka różnica – odpowiedział. – Terrorysty negocjują. Złodzieje – nigdy.

Przez chwilę panowała cisza. Czułam, że teraz powinnam zagrać.

– John – zaczęłam. – Chciałam cię o coś zapytać.

– Tak, kochanie?

– Czas, abym podążyła tropem tej sprawy. Nie sądzą, abym uzyskała jeszcze jakieś informacje tu, w Anglii... – przerwałam.

– I?

– Chcę, abyś mi pomógł. Wiem, że nie będziesz siedział z założonymi rękoma. Myślę, że wiesz więcej.

– Chcesz, abym ci dał jakąś wskazówkę? – spojrzał na mnie znacząco.

– Właśnie – odparłam.

– Kochanie – powiedział z uśmiechem – właśnie to zrobiłem. Jutro rano jedziesz do Bejrutu. Zatrzymasz się w hotelu mego przyjaciela. Tam dostaniesz specjalnie zarezerwowany aparta-

ment. Mój człowiek skontaktuje się z tobą w ciągu dwóch dni.

– Dziękuję, Sir Johnie! – wykrztusiłam. – Ale dłaczego?

– Dłaczego to robisz? – zapytał. – Możesz tego nie zrozumieć, ale spędzone z tobą popołudnie było dla mnie bardzo ważne.

– Rozumiem – pokiwałam głową.

– Dobrze – odpowiedział. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, nazwijmy to wymianą umiejętności.

– Zgoda – przystałam na propozycję.

– Ale kochanie – dodał. – Jest coś, o czym musisz pamiętać.

– Co to? – zagadnęłam.

– Teraz jesteśmy kwita.

ROZDZIAŁ VI

W Bejrucie miałam zdobyć informacje potrzebne do artykułu, jednak nie miałam ochoty tam jechać.

Znałam ten kraj już wcześniej, gdyż byłam tam jako dziennikarka „Worldu”. W tamtym okresie Liban był krajem w większości chrześcijańskim, buforem między rozwiniętymi krajami Europy i Ameryki, a krajami muzułmańskimi. Porty Bejrutu były zatłoczone i rojne, hotele pełne, sklepy i bazyry dobrze zaopatrzone. Stanowił on nie tylko stolicę Libanu, ale całego regionu. Był Paryżem Środkowego Wschodu. W drapaczach chmur miały swoje kwatery siedemdziesiąt trzy banki. Dzielnica przemysłowa nie ustępowała Pittsburgowi i produkowała wszystko od samochodów po odzież. Kasyno Liban gościło królów i szefów międzynarodowych korporacji, a wokół luksusowego hotelu „St. Georges” skupiało się życie śmietanki towarzyskiej.

Potem nadeszła wojna domowa. W ciągu dziewiętnastu miesięcy walk zginęło czterdzieści tysięcy ludzi, a wspaniałe miasto zostało zrujnowane. W czasie wojny pojechałam tam powtórnie, aby zobaczyć to na własne oczy. Nie mogłam uwierzyć w te straszne opowieści o zniszczeniach i okrucieństwie. Ale to była – niestety – prawda. Na ulicach leżały stosy gruzu, nad miastem uno-

siła się chmura czarnego pyłu, która nadawała mu wygląd piekła na ziemi. Po ulicach krążyły pojazdy wojskowe i uzbrojeni mężczyźni. Nocą słychać było trzaski wystrzałów. Hotele zostały zburzone i spalone, sklepy spłądrowane, Kasyno Liban zamknięte.

Pamiętam jak dziś. Podczas jednej z niewielu przerw w walkach wędrowałam po ulicach miasta. Przechodziłam obok kwaciarni, którą bomba zamieniła w pył. Jakiś Libańczyk w średnim wieku przeciskał się przez ruiny. Gdy kurz opadł, zobaczył nagle, że jeden mały goździk ocalał z tej rzezi. Leżał na betonowym bloku pokryty pyłem. Człowiek podniósł go, zdmuchnął brud i odłożył delikatnie. Potem zaczął odsuwać bryły betonu, myśląc może, że znajdzie pod nimi więcej kwiatów.

Zamiast nich znalazł zmiażdżone ciało młodej kobiety. Została rozebrana przez złodziei, a potem zabita przez spadający betonowy blok. Ten człowiek nie zareagował, jego twarz była jak wykuta z kamienia. Odciągnął trupa i przykrył jutowymi workami. Potem wrócił, podniósł goździk i wybuchnął płaczem.

Nigdy nie zapomnę tej sceny. Sądziłam, że wojna zmienia ludzi w samolubne, nieczułe istoty. Ale wtedy, gdy zobaczyłam reakcję tego mężczyzny, stałam się zagorzałą pacyfistką. Nienawidzę wojny, bez względu na jej powód. Postanowiłam poświęcić życie nie tylko pracy, ale również

szerzeniu szczęścia, nadziei i, przede wszystkim, przyjemności.

O ile wspanialej być kochankiem niż wrogiem!

A więc – jak wspomniałam – nie chciałam jechać do Bejrutu. Już na lotnisku zrozumiałam, że moje uprzedzenia były niesłuszne. Od mego ostatniego pobytu tutaj nastąpiły spore zmiany. Wszędzie dostrzegłam ślady odbudowy, nowej energii i dumy. Ulice były, jak za dawnych czasów, kolorowe i ruchliwe.

Kiedy dojechaliliśmy do części hotelowej na obrzeżach miasta, spostrzegłam, że tu skupiły się wszystkie wysiłki odbudowy. Odnowiono zburzone i na wpół wypalone hotele. To dodawało mi otuchy.

Weszłam do hotelu „Saxon” poleconego przez Sir Johna. Od razu zaprowadzono mnie do Apartamentu Królewskiego. Urządzono go z prawdziwie wschodnim przepychem. Cały był ze szkła, luster i stali. Przez okno mogłam obserwować port i zatokę.

W czasie, gdy podziwiałam widok, usłyszałam dyskretne pukanie do drzwi, a po chwili dostrzegłam wsuwającą się przez szparę kopertę. Gdy otworzyłam, w hallu nie było już nikogo. Sądziłam, że był to człowiek Sir Johna. Wróciłam do pokoju i podniosłam kopertę. Hotelowa papeteria niewiele mi pomogła w zorientowaniu się od kogo była notatka napisana drukowanymi literami:

„O zmroku przy ruletce czeka cię szczęście”.

Zrozumiałam, że dziś wieczorem mam spotkanie w Kasynie Liban. Nie zaspokoili to jednak mojej ciekawości. Przebrałam się i zeszłam do recepcji.

– Przepraszam – powiedziałam – jestem Krystyna van Bell. Czy ktoś o mnie pytał?

– Nie, proszę pani – usłyszałam w odpowiedzi.

No, tak. Sir John prawdopodobnie powiedział mojemu informatorowi, jak mnie znaleźć, albo... urzędnik kłamał. Nie podobało mi się to wszystko. Nie lubię, gdy obcy mężczyzna wie, gdzie mnie znaleźć w obcym mieście. Nie lubię tak ścisłego kontrolowania.

Lepiej jednak grać według cudzych reguł, niż nie grać wcale. Przeszłam nad tym do porządku dziennego i postanowiłam pójść na spotkanie z tajemniczym informatorem w kasynie.

Miałam jeszcze sporo czasu, w związku z tym poszłam odwiedzić znajomych, gdyż „World” miał w Bejrucie swoje przedstawicielstwo. Pomyślałam, że nieźle byłoby się im pokazać na wypadek nagłego zniknięcia. Powędrowałam ulicami miasta.

Wzdłuż zielonej linii, która dzieliła Bejrut Jezusa od Bejrutu Mahometa, wciąż stały mury ze śladami kul. Droga do biura zajęła mi nie więcej niż dwadzieścia minut.

Placówką kierował starszy już facet, jeszcze

z czasów mego ojca; nazywał się Hamilton Gant. Kiedy weszłam do biura, zapamiętałam układał pasjansa.

– Dzień dobry, panie Gant! – powiedziałam przyjaźnie.

Popatrzył na mnie znad kart. Wyraz zdziwienia na jego twarzy, szybko zastąpiło przerażenie.

– Panna van Bell!? – krzyknął. – Co pani tutaj robi?

– Chyba więcej niż pan – odpowiedziałam rozglądając się. – Gdzie są dalekopisy, panie Gant? Gdzie depesze? Gdzie mapy z kolorowymi szpilkami?

– Panno van Bell – wyjaśnił – trzeba powiedzieć całą prawdę. To miejsce jest obecnie tak cholernie spokojne, że nie ma o czym pisać. Myślałem, aby zaproponować zamknięcie biura.

– Dlaczego? – zapytałam. – Co Falanga zrobi bez nas?

Miałam oczywiście na myśli polityczną organizację chrześcijańską kierowaną przez rodzinę Hiro. Byli butni, bardziej święci od papieża, ale wiele razy przytąpaliśmy ich na słabościach. I kłuliśmy.

– To samo, co robią z nami – odparł. – Nic.

– A co miałabym zrobić z panem, jeśli zamkniemy placówkę w Bejrucie? Kazać panu zorganizować szkolenie z układania pasjansa? – zapytałam zgryźliwie.

Moje niezdecydowanie znikło, gdy spojrze-

łam na jego wymizerowaną twarz. Nie był to ten sam facet, który dostarczał najlepszych informacji o Hiro. Był to jedyny człowiek, który potrafił odciągnąć mego ojca od nieustannej pracy i zabrać go na małego drinka.

– W porządku, panie Gant. Wezmę pańską sugestię pod uwagę. A jeśli rzeczywiście zamkniemy to biuro, obiecuję panu jakieś słoneczne miejsce.

– Wie pani, czego naprawdę chcę? Lata mijają, jestem zmęczony, panno Bell. Mam wnuka w New Jersey, a widziałem go tylko raz.

– Mam pomysł – powiedziałam – ofiaruję panu pastwisko w wymarzonej okolicy.

– Świetnie! – uśmiechnął się.

Ucisnęłam mu dłoń. – Mieszkam w hotelu „Saxon”. Proszę zadzwonić, jeśli będzie pan czegoś potrzebował ode mnie.

Zatrzymał się jeszcze. – Hej! – zawołał – nie powiedziała mi pani, dlaczego tu jest?

– Pracuję nad artykułem. Po prostu pracuję. – odrzekłam krótko.

O dziewiątej wieczorem wzięłam taksówkę i pojechałam do kasyna. Wiedziałam, że jest jeszcze zbyt wcześnie, ale byłam ciekawa, czy nastąpiły tam jakieś zmiany od mojego ostatniego pobytu. Okazało się, że odzwierny, którego twarz i ja pamiętałam sprzed pięciu lat, od razu mnie poznał.

– Panna van Bell! Jaka wspaniała niespodzianka! Proszę mi pozwolić powiedzieć Jonaszowi, że pani tu jest.

Jonasz Sarkis był właścicielem kasyna. Był Libańczykiem, który uważał się za ozdobę śmietanki towarzyskiej tego kraju. Wiedziałam, że jeśli mnie poprowadzi, nigdy nie przegram.

– Znajdę go sama, chcę mu zrobić niespodziankę.

– Ach, panno van Bell – pogroził mi palcem – nie się pani nie zmieniła! Zawsze pani żartuje.

– Nie zawsze – powiedziałam.

Weszłam do sali gry jak zawsze zatłoczonej. Staralam się rozpoznać twarze i kilka z nich były mi znajome. Wszyscy dyskretnie patrzyli w moim kierunku, a w ślad za mną biegł cichy szept „Krystyna van Bell...” Zawsze tak reagowano na moje wejście. Czasami to nawet lubiłam, ale tym razem mnie to bardzo zirytowało.

Kupiłam kilka żetonów i podeszłam do stołu z ruletką, część od razu postawiłam na kolor. Trzy razy pod rząd szczęście uśmiechnęło się do mnie. Wybrałam swój osobisty wkład i zaczęłam grać pieniędzmi kasyna. Właśnie miałam obstać numer siódmy, gdy poczułam na sobie czyjąś dłoń.

– Przepraszam – właśnie miałem postawić na tę siódemkę!

Odróciłam się i dostrzegłam bardzo przystojnego mężczyznę: oliwkowa cera, jasne oczy,

czarne, kręcone włosy i dobrze utrzymane wąsy. Wyglądał niczym księżę i mógł nim być. Jeśli miałam szczęście, patrzyłam na informatora od Sir Johna. Wyciągnęłam rękę.

– Co za zbieg okoliczności! – powiedziałam.

– Też tak sądzę. Czy ma pani ochotę na coś do picia? – zaproponował.

A więc miałam rację? To mój człowiek.

– Doskonała wymówka, aby odciągnąć szczęśliwego gracza – zauważyłam.

Wzięłam wygraną i poszliśmy razem. Zamiast do baru skierował się prosto do wyjścia.

– Myślę, że będziesz wołała coś bardziej prywatnego – wyjaśnił. – Chcesz popływać?

– Nie mam kostiumu – odparłam nieco zaskoczona.

– Żaden kłopot. Pójdziemy do klubu pływackiego, możesz wypożyczyć.

Klub pływacki mieścił się w pobliżu mojego hotelu, kilka budynków dalej. Poszliśmy tam.

– Rozumiem, że interesuje cię piractwo – zagadnął, gdy odeszliśmy kilka kroków. Miał dziwny akcent; bliskowschodni, ale nie libański.

– Z zasady nie rozmawiam o interesach z ludźmi, których nie znam! – odparłam wyniosło. Na uwagę tę zareagował śmiechem.

– Jehuda Richter – przedstawił się.

– Jehuda? – zapytałam. – To izraelskie imię.

– Oczywiście – przytaknął.

– Co pan tu, do diabła, robi? Myślałam, że opuściliście Bejrut.

– Panno van Bell – zaczął – przyjechałem tu przez wdzięczność do mojego przyjaciela, aby powiedzieć pani o piractwie. Wszystko inne zostanie moją tajemnicą.

– Wystarczy – przystałam.

Rozpierała mnie ciekawość.

– Wiem niewiele – kontynuował. – Piraci nie są właściwie moim hobby. To, co słyszałem pochodzi z plotek robotników portowych.

– To wszystko jest dla mnie nowe i istotne – zachęcałam go do opowiadania.

– Niedawno w porcie przebywał tankowiec. Nazywał się „Hiram Sanders”, stanowił własność duńskiego armatora, który urzęduje w Singapurze, ale ma panamskie papiery. Wziął tu pełen ładunek i wypłynął do Aten. Stracono z nim kontakt radiowy na Morzu Egejskim. Helikoptery już go znalazły. Dryfował koło Cyklad, pusty. Wybrany do czysta.

– A załoga?

– Znalaziono kilka łodzi ratunkowych na Morzu Egejskim, część odplynęła do Turcji. Ale kapitan i oficerowie zniknęli.

– Zamordowani? – zapytałam.

– Trudno powiedzieć – odrzekł Jehuda – aby stwierdzić morderstwo, potrzeba ciał. Mogą nie żyć, ale nie można tego udowodnić.

Doszliśmy do klubu. Znudzony urzędnik czy-

tał „International News” sprzed tygodnia. Kiedy zobaczył Jehudę, sięgnął pod biurko, wyjął klucze i posunął w jego kierunku. Jehuda podał mi jeden z nich. – Kostium znajdziesz w przebieralni.

– Czy zawsze jesteś tak dobrze przygotowany? Czy to specjalny rodzaj traktowania? – zagadnęłam ironicznie.

– Gdy mam do czynienia z piękną kobietą, zawsze jestem przygotowany – odparł.

Zabrzmiało to jak stwierdzenie faktu, bez cienia uśmiechu.

„To smutne – pomyślałam. – Taki młody, cu-downy i taki ponury”.

Kabiny zaopatrzone w ogromne lustra i miękkie dywany. W środku znalazłam jasnoblękitny kostium, który pasował jak druga skóra. „Ach, ci Żydzi. O wszystkim pomyślą”.

Poszłam na górę. Chociaż zapowiadała się ciepła noc i od oceanu wiała łagodna bryza, basen był pusty. Zastanawiałam się, czy nie wynajął go specjalnie, aby zaaranżować to prywatne spotkanie we dwoje. W tej samej chwili intuicja podpowiedziała mi, że może to być jakiś podstęp. Chociaż nie miałam pojęcia, kto chciałby mi zrobić krzywdę.

Po chwili nadszedł Jehuda. Miał spodenki kąpielowe w tym samym jasnoblękitnym kolorze co moje bikini. Był dobrze zbudowany; twarde jak skała szerokie ramiona i wąskie biodra, nogi umięśnione jak u biegacza. Oczywiście, mój

przeгляд nie ominał części środkowej. Jego penis był teraz niepokazny, ale nietrudno mi było sobie wyobrazić jak powstaje...

„Krystyno, jesteś niemożliwa!” – zganiłam siebie w myśli.

– Dobry wieczór – rzekł na powitanie – kostium pasuje jak ulał.

Obejrzał mnie od stóp do głów tak jak ja jego i poprowadził w kierunku wody. Była chłodna, zanurzyliśmy się powyżej pasa. Podeszedł blisko i delikatnie ujął moją rękę.

– Jehuda – zagadnęłam – co właściwie tutaj robisz?

– Gdybym mógł ci to powiedzieć, Krystyno, zrobiłbym to, wierz mi.

Przyciągnął mnie i pocałował. Miał cudownie miękkie usta. Uległam jego urokowi. Wokół nas plaskała woda, nad nami świeciły jasno gwiazdy – doskonała noc na miłość. Z dali dochodziło stłumione wycie silników samolotu; nocny lot do Kairu lub Istambułu.

Trzymając mnie w ramionach, Jehuda niepokojnie patrzył na niebo. Miałam wrażenie, że nasłuchiwał.

– Co to? – szepnęłam. Pomyślałam, czy nie jest zawodowym wojskowym.

– Hmm? – mruknął w odpowiedzi. Zapomniał o moim istnieniu.

– „Nie mogę do tego dopuścić”. Prysunęłam się bliżej, dając do zrozumienia, że jednak jestem

tu. – Co widzisz w górze? – zapytałam. Jednocześnie zaczęłam kręcić biodrami, pocierając ukryty pod spodenkami penis.

Chciałam skierować jego uwagę na poprzednie tory.

– Właśnie myślałem... – zaczął. – Nie, nieważne, to nic takiego...

Pochylił się, aby mnie pocałować. Tym razem otworzyłam usta jak ktoś zgłodził. Odgadł to i wypełnił je językiem. Całowałam go namiętnie, pocierając piersiami o tors.

– Tak lepiej – szeptałam – nie sądzisz?

– Największa moja radość od tygodni... – wymamrotał.

I znów mnie całował, a ja czułam, jak jego członek nabiera życia. Wolno zaczęłam ściągać mu spodenki, aż wyskoczył radośnie ze swego więzienia. Miałam nastrój do zabawy. Nagle zanurkowałam i odpłynęłam.

– Dokąd to? – zawołał.

Wyglądał na zdezorientowanego, przestałam płynąć i zatrzymałam się na środku basenu.

– Kochanie – zawołałam – czy zawsze jesteś takim formalistą?

– Nie rozumiem.

– Wiem, że Żydzi musieli walczyć o przetrwanie, ale czy to ma wpływ na życie seksualne? Czy wszystko musi być takie poważne?

– Krystyno, o czym ty, do diabła, mówisz? Nie

rozumiem. W jednej chwili całujemy się, a ty nagle odpływasz!

– Właśnie o to chodzi. Miłość i seks – to gra. Nie widzisz tego. Ja jestem nagrodą, musisz mnie zdobyć.

W końcu chyba zrozumiał. Zachęcałam go do tej zabawy, ponieważ tej nocy nie miałam nic lepszego do roboty, a sądząc po wyglądzie jego ciała, gra była warta świeczki.

Jeszcze jeden samolot przeleciał wysoko nad nami i Jehuda znowu spojrzął z niepokojem w górę.

– Jehuda, co się z tobą dzieje? Nie słyszałeś nigdy samolotu?

– Właśnie słyszałem ich za dużo – odparł smutno.

Poczułam się lekko zawstydzona. Miałam okazję nie raz przebywać w niebezpiecznych sytuacjach, nie przywykłam do nich. Było mi żal tego przerażonego człowieka. Popłynęłam do brzegu basenu.

– W porządku – powiedziałam – wracam do hotelu. Bardzo ci dziękuję za informacje.

– Nie? Krystyno, zaczekaj! – wykrzyknął. Zaczął płynąć do mnie bardzo szybko, złapał mnie za nogę i przyciągnął.

– Złapałem cię. Musisz mi dać nagrodę.

Błądził rękoma po moim ciele, badając kształt piersi i bioder. Drżałam z wrażenia pod tym dotykiem.

– Gra, tak? – powiedziałam. – Zobaczymy.

Mocno ścisnęłam mu jądra, nie na tyle jednak, aby sprawić mu ból i znów odpłynęłam. Złapał mnie natychmiast.

– Lubisz być traktowana konkretnie, co? A więc, dobrze!

Stanął w wodzie przede mną i bezceremonialnie wziął w ręce moje piersi. W tej samej chwili odwrócił mnie tak, że jego stwardniały członek znalazł się między moimi pośladkami.

Na to właśnie czekałam. Zaczęłam żywiej oddychać. Drażniło mnie ubranie, które broniło nam bezpośredniego kontaktu.

– Kochany – szepnęłam – zdejmij górę od kostiumu, szybko.

– Czy to znaczy, że się poddajesz? – zapytał. Żadnych warunków?

– Dotykaj mnie, dotykaj mnie, Jehudo.

Włożył ręce pod bikini i objął nimi piersi.

– Tak. To właśnie to, czego chcę, kochany. Chcę czuć dotyk twoich pięknych rąk. Tak jak teraz... – szeptałam.

Zaczął ugniatać moje uległe ciało, aż pojękiwałam z podniecenia. Potem wziął w palce zaróżowione sutki i szczypał je.

– Och! – krzyczałam.

– Jesteś zadowolona? – pytał.

– O, tak.

Rozwiązał górę kostiumu i pozwolił jej opaść do wody. Natychmiast sama pozbyłam się dolnej

części. Woda utrzymywała moje piersi na powierzchni wody jak boje.

Zamknęłam oczy, zaciskając dłonie na piersiach. – Jestem twoja... – powiedziałam. Otworzyłam oczy i zaśmiałam się: – Jeśli mnie złapiesz?

Znów popłynęłam jak szalona na drugi koniec basenu. Usłyszałam za sobą rytmiczny plusk. Płynął równo i spokojnie. Dotarłam do najdalejszego krańca przeznaczonego do nurkowania. Tam częściowo wynurzyłam się z wody.

– Jehuda! – krzyknęłam. – Weź mnie teraz! Właśnie tak!

Od razu zrozumiał, co miałam na myśli. Podpłynął. Moja szparka była gorąca i gotowa na jego przyjęcie. Wszedł we mnie płynnie i mocno, wypełniając całkowicie. Od razu znaleźliśmy właściwy rytm. Myślałam, że zemdleję z rozkoszy.

Kołysaliśmy nasze ciała w harmonijnym rytmie. Czułam nadchodzący dreszcz. Jehuda zatrzymał się. Nagle i nieoczekiwanie po prostu zatrzymał się.

– Co... – zatkało mnie. – Jehudo, co się...

– Ssz... – syknął. Nasłuchiwałam, chociaż nie miałam pojęcia dlaczego.

Wtedy doleciał dźwięk silników samolotu. Tym razem bliższy i brzmiący nisko.

– Nie powinny latać tak nisko – stwierdziłam. – Lotnisko jest trzydzieści mil stąd.

– To nie jest pasażerski samolot – wyszeptał.

Znowu słuchał uważnie. Nagle drgnął.

– Krystyno! – wrzasnął. – Wychodź z basenu! Szybko! To bombowce!

– Nie mówisz poważnie – powątpiewałam.

– Do licha! – mówił do siebie. – Mieli mi dać jeszcze tydzień! To nie czas na sprzeczki. Musimy stąd uciekać. Teraz tu jest niebezpiecznie.

Na potwierdzenie tych słów usłyszeliśmy głośny, wibrujący gwizd i wybuch. Niebo rozjaśniła łuna i budynek nieopodal stanął w płomieniach. Ziemia zadrżała.

– Krystyno! – krzyczał. – Wychodź stąd, natychmiast!

Wyskoczyłam z wody i złapałam leżący szlafrok. Wbiegliśmy do klubu małym i wąskim korytarzem. Usłyszeliśmy następny gwizd. Jehuda pociągnął mnie do ściany nośnej. Gdy staliśmy tam do niej niemal przytuleni, przypomniałam sobie, że on powiedział: „nasze bombowce”.

– Jehuda, co to wszystko znaczy?

Jego odpowiedzi przeszkodził kolejny wybuch.

– Dostarczamy wiadomości dla OWP – odkrzyknął – ale mieli czekać na znak ode mnie: „Jeśli chcesz pozbyć się szcurów, zniszcz ich gniazdo”.

Chciałam mu zadać jeszcze wiele pytań, ale wiedziałam, że nie czas i miejsce na to. Ciszę przerywały co chwila ryki bombowców, trzask płomieni i krzyki.

Byłam naga pod szlafrokiem i nadal przepęłniało mnie pożądanie potęgowane niebezpieczną sytuacją.

– Jehuda – prosiłam – pocałuj mnie... – proszę, pocałuj mnie, kochany...

Widocznie czuł to samo co ja, bo przywarł do moich ust, a jego niecierpliwe ręce sięgnęły tam, gdzie jeszcze nie były. Był także gotowy do miłości.

Przyłgnęłam do niego z siłą, która zdziwiła mnie samą. Niebezpieczeństwo i seks wymieszały się tak, że nie byłam w stanie mu się oprzeć. I nie chciałam.

– Kochany – mruczałam – weź mnie...

Nie czekając na odpowiedź, objęłam jego członek, który pulsował pod wpływem mojego dotyku. Przyciągnęłam go bliżej, rozchyliłam szlafrok i rozsunęłam nogi. Piersi mi falowały.

– Tak, Krystyno – wyszeptał mi do ucha – ja też cię proszę... weź mnie...

Kiedy poczułam pierwszy dotyk znowu jedna z bomb trafiła gdzieś blisko. Budynek zadrżał, a ściany zaczęły się kruszyć, pokrywając nas kurzem.

– Szybko! – wrzasnęła. – Musimy zejść niżej. To nasza jedyna szansa!

Pobiegliśmy korytarzem prowadzącym do przebiegłości, w stronę kabin, które znajdowały się na dole.

Kabina była rajem, wyspą chłodu we mgle

plamieni. Wyciszała odgłosy paniki i krzyki przerażonych ludzi.

Nadal płonęłam z ciągle niezaspokojonego pożądania. Jeszcze raz opłotłam go nogami i zarzucałam mu ręce na szyję. Byłam blisko i jego penis pocierał moją szparę.

– Nie – wyszeptał – nie tak... odwróć się!

Szalałam z niecierpliwością. Szybko odwróciłam się i oparłam ręce na stojącym stołku. Rozwarłam nogi tak szeroko jak potrafiłam. Tęskniłam do zbliżenia.

Po chwili wszedł we mnie. Falowaliśmy rytmicznie. Każdemu ruchowi towarzyszył kolejny wybuch i krzyki.

– Tak! Skarbie! – jęczałam. – Kochaj mnie...

Chaos na zewnątrz harmonizował z ogarniającą mnie furją. Rzuciałam się wciąż szybciej i szybciej kołysząc biodrami i biorąc go głębiej.

W chwilę potem wykrzykiwaliśmy naszą szaleńczą rozkosz.

Właśnie wtedy usłyszeliśmy jeszcze jeden wybuch tuż nad naszymi głowami. Budynek zakotywał się i sufit zaczął pękać.

– O mój Boże! – krzyknął Jehuda. Nie mógł złapać tchu. – Krystyno. Musimy się ratować!

Rzucił mi szlafrok, a ja szybko się ubrałam. Jehuda złapał mnie za rękę i wyciągnął mnie na korytarz, wrywając mi niemal ramię ze stawu. W tej chwili sufit spadł na dół, wywołując obłoki pyłu.

Miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą kochaliśmy się zapamiętałe, zostało przygniecione zwalną konstrukcją stali i betonu.

Nie mogłam na to patrzeć. Jehuda ciągnął mnie przez tunel, przedzieraliśmy się przez dym i ruiny. Zauważyłam, że ma na sobie swój strój kąpielowy, założony nie wiadomo w jaki sposób. Trudno było oddychać, a czy były pełne kurzu. Na szczęście zanim dotarliśmy do wyjścia, ogień nieco przygasł. Można było zauważyć błysk wody w basenie. Jehuda popatrzył na mnie.

– Musimy tam biec. Jesteś gotowa?

Przytaknęłam. Zaczęliśmy biec, usiłując omijać płomień. Przerazenie sprawiało, że prawie nie czułam żaru. Mimo to, spostrzegłam, że poły mego szlafroka płoną. Wyrwałam się Jehudzie i wskoczyłam do wody. Ogień zgasł. Gdy woda ogarnęła mnie, poczułam się bezpieczna, przynajmniej na chwilę.

Gdy wypłynęłam, Jehuda odbiegł daleko. Nie odpowiadał na moje wołanie, nie wiedziałam, gdzie jest. Czy spłonął, czy też zmiażdżyły go walące się mury.

Wśród tych strasznych przeżyć jedna rzecz była dla mnie realna – nasza szalona miłość. Gdybym nie widziała płonących budynków, nie słyszała strzałów, wybuchów i krzyków ludzi na ulicy, pomyślałabym, że to był tylko sen...

ROZDZIAŁ VII

Wyglądało to zapewne jak w kiepskim wojennym filmie. Pamiętam moją absurdalną troskę, żeby być szczelnie osłoniętą szlafrokiem, poplamionym i mokrym, gdy biegłam przez ulice. Wspominając to, sądzę, że kilku Bejrutczyków zaśmiewało się potem do łez opowiadając, o prawie nagiej blondynce biegnącej wśród ruin. Teraz już to wszystko należy do przeszłości...

Po nalocie pragnęłam jak najszybciej wrócić do hotelu. Gdy dotarłam na miejsce, okazało się, że ten budynek niemal nie ucierpiał. Ludzie zaczęli właśnie opuszczać schron i rozchodzić się do swoich pokoi. Kiedy przechodziłam przez hotelowy korytarz, bosa i otulona w szczątki ubrania, z potarganymi włosami i cała w kurzu, wyglądałam dość dziwnie. Gdy dobrnęłam do swego pokoju, zaczęłam nad tym wszystkim rozmyślać.

Doszłam do wniosku, że Jehuda musiał być tajnym agentem izraelskim. Jego uwagi wskazywały, że wiedział o nadchodzącym nalocie.

Wyglądało na to, że zdobyłam materiał na drugi reportaż. Kusiło mnie, aby zostawić historię pirackich napadów i zabrać się do tego, co przeżyłam i widziałam tutaj w Bejrucie. Wiedziałam jednak, że muszę się skupić na głównym problemie.

Zadzwoniłam do Hamiltona Ganta.

– A więc, panie Gant – powiedziałam – wygląda na to, że jeszcze nie czas na przeprowadzkę.

– Panno van Bell! – wykrzyknął – bałem się o panią jak diabli!

– Wszystko w porządku. Chciałabym zostać i popracować razem z panem nad tym ostatnim materiałem!

– Proszę się o nic nie martwić – zaczął mnie uspokajać – zrobię to na medal!

– Dobrze. A zatem do zobaczenia w Newark.

Odłożyłam słuchawkę i zaczęłam myśleć o własnych planach. Niewiele nowych informacji uzyskałam od Jehudy. Jedyne interesującym śladem była historia tankowca „Hiran Sanders”. W normalnych warunkach poszłabym do portu, aby badać tę sprawę. Teraz, po nalocie, było to bez sensu. Nie miałam żadnych szans, by spotkać tam kogokolwiek.

„Hiran Sanders” – jak mówił Jehuda – wypłynął do Aten, a po ataku piratów znaleziono go koło Cyklad. Część załogi miała zdryfować ku wybrzeżom Turcji.

Pływałam kiedyś po Morzu Egejskim z przyjaciółmi i wiedziałam, jak się tam układają prądy morskie. Kierowały się z zachodu na wschód. Znaczyło to, że piraci opanowali statek gdzieś w pobliżu wysp bliższych wybrzeżom Turcji.

Jedynym punktem oparcia w rozwiązaniu tej zagadki była dedukcja. Niestety, wysp cykladzkich było ponad dwieście w jednej grupie,

a ponad siedemdziesiąt osobno. Wyglądało to na szukanie igły w stogu siana. Jednak postanowiłam spróbować.

Bejrut nie mógł mi nic ofiarować. Postanowiłam jutro wyruszyć do Aten.

Tak jak się spodziewałam, bejruckie lotnisko przypominało dom wariatów. Zostało zamknięte dla ruchu pasażerskiego, okupowały go tłumy ludzi chcących za wszelką cenę się stąd wydostać. Palestyńczycy walczyli z Bejrutczykami, a ci z kolei z personelem lotniska. Wydawało się, że opuszczenie Bejrutu nie będzie zadaniem łatwym.

W końcu, za sprawą studolarowej łapówki, przekonałam kogoś z obsługi, aby przywołał mój samolot z Trypolis. Odważny pilot przyleciał w ciągu godziny, a za dwie następne lądowałam już w Atenach.

Planowałam tam kilkudniowy pobyt. Chciałam powęszyć w Pireusie i trochę porozmawiać z dokerami. Jednak los sprawił, że stało się inaczej.

Czekałam właśnie na kontrolę celną, gdy zobaczyłam starszego angielskiego turystę, któremu z kieszeni wystawał przewodnik po Cykladach. Kierowana przecuciem, poprosiłam o pożyczanie książki.

– Moja droga – prychnął pogardliwie – mo-

żesz go sobie wziąć. Nigdy w życiu nie chcę już widzieć Cyklad.

– Tak? – odezwała się niezbyt przytomnie – a to dlaczego?

– Kawa! – odpowiedział surowo. – Tam nie mają neski!

O mały włos nie wybuchnęłam śmiechem, słysząc tę typowo brytyjską odpowiedź. Podśluchałam kiedyś w Niemczech rozmowę dwóch Anglików. „Tak – mówił jeden – to piękny kraj. – Szkoda tylko, że tylu tu cudzoziemców”.

Nagle moją uwagę zwrócił opis wyspy Amorgos, jednej z większych w Cykladach. „W dawnych czasach – czytałam – jej liczne jaskinie i łańcuchy górskie dawały schronienie piratom egejskim”. Według przewodnika Amorgos leżała z dala od utartych szlaków turystycznych. Żadnych samochodów, niewiele domów z doprowadzonym prądem elektrycznym i tylko jeden lekarz. Te kilka tysięcy ludzi, którzy nie odeszli do Aten w poszukiwaniu pracy i lepszych warunków życia, mieszało tak jak ich przodkowie, trudniąc się łowieniem ryb i uprawiając ziemię. Wyspa była naprawdę wymarzoną miejscem dla piratów.

Pojechałam do Mikones, a stamtąd popłynęłam parowcem do Amorgos. Po dwunastogodzinnej żegludze wpłynęliśmy do zatoczki od strony południowej. Na wybrzeżu powitał nas tłum greckich wieśniaków, czekających na wyładowa-

nie towarów. Statek był jedynym łącznikiem między wyspą a światem.

Niestety, nie znam gerckiego i musiałam porozumiewać się na migi. Wynajęłam człowieka z osłem, który miał zawieźć mnie i bagaże do jedynego tutaj hotelu. Właśnie mieliśmy ruszać, gdy usłyszałam dziwne okrzyki. Po chwili ujrzałam galopującą na osiołku ciemnowłosą dziewczynę o błyszczących, pięknych oczach. Kiedy przejechała, spojrzałam na przewodnika, wskazując na oddalającą się postać. Jego twarz zdradzała rozbawienie.

– Peristella – powiedział. Kilka razy zakreślił na czole kółko. – Kakos! – dodał.

Domyśliłam się, że tak ma na imię i że jest nieco zwariowana. Nie mogłam jednak zapomnieć tego widoku nawet później przy rozpakowywaniu bagażu. „Peristella – myślałam – co za śliczne imię”.

Tym, którzy mnie bliżej nie znają, muszę wyjaśnić, że należę do typowych hedonistek. Czerpię przyjemność w każdej możliwej chwili, miejscu i czasie. W moim dość ekstrawaganckim życiu nauczyłam się przyjmować miłość i piękno w każdej postaci. Jeśli wiąże się z kobietą, to nie zadaję niepotrzebnych pytań, tylko robię wszystko, aby nasz związek był przyjemnością. Nigdy niczego się nie wypieram.

Są chwile, w których mam wrażenie, że los

ulega mojej woli, odciskając niezatarte piętno na życiu. Tak było i tym razem.

Gdy weszłam do maleńkiego baru hotelowego, zobaczyłam tam dziewczynę. Wyklócała się z barmanem nad skrzynką z butelkami wina, które najwyraźniej chciała mu sprzedać. Butelki były bez nalepek.

Przez chwilę obserwowałam tę sprzeczkę. Zauważyłam zdumiewające połączenie łagodności i zawziętości, które czyniły Peristellę jeszcze piękniejszą. Ostatecznie nie wytrzymałam. Podeszłam i delikatnie dotknęłam jej ramienia. Spojrzała niezbyt przyjaźnie. Po chwili jej wzrok złągodniał.

– Peristella? – zapytałam.

– Tak – odparła po angielsku. – Czego chcesz?

– Znasz angielski? – ucieszyłam się.

– Urodziłam się w Chicago – wyjaśniła.

– Czy mogę spróbować twego wina? – zapytałam.

Sądzę, że tym ją podbiłam. Sięgnęła po butelkę i posunęła ją w moim kierunku. Barman przyniósł szklanki i talerz jakiejś potrawy z cebulą.

– Spróbuj – zachęciła mnie. – To fava.

Zaczęłam jeść. Podstawę dania stanowiła fasola z kawałkami boczku i cebuli wraz z nieznanymi mi przyprawami. Smakowało mi to.

– A teraz wino – poleciła.

Napełniłam szklankę. Miało cudowny kolor

i dobrą konsystencję. Spróbowałam raz, potem drugi. Jego smak był niepowtarzalny; wytrawne, prawie gorzkie, a jednak z odrobiną słodczy. Pomyślałam o przeszłości i o starożytnych misteriach, podczas których pito dużo wina.

– Smakuje? – spytała.

– Wspaniale – odparłam szczerze i oblałam usta, co podkreśliło mój zachwyt. Zobaczyłam w jej oczach znak porozumienia.

– Co tu robisz? – dopytywała się. – Nie jesteś zwykłą turystką?

– O!? – rzekłam zdziwiona. – Skąd wiesz?

– Jesteś zbyt pewna siebie. Sprawiasz wrażenie, jakbyś miała tu coś do załatwienia.

– Jak na to wpadłaś?

– Muszę wiedzieć takie rzeczy – stwierdziła poważnie. – To moja praca i moja sztuka.

Zmroziło mnie. Lepiej nie zadawać jej dalszych pytań.

– Masz rację – wyjaśniłam – mam powody, żeby tu być. Szukam piratów.

– Tych dawnych? – spojrzała na mnie ostro.

– Nowych – odparłam krótko.

Wstała szybko, aż zaskoczyło mnie to.

– O tym nie rozmawia się w dzień – rzekła, a w jej oczach dostrzegłam dziwny blask.

– Spotkamy się po zachodzie słońca.

– Dobrze – przystałam. – Gdzie?

– U stóp gaju oliwnego.

Wyszła, zanim poprosiłam ją o bliższe wska-

zówki. Usłyszałam, jak pogania osiołka. Po chwili wszystko ucichło. Barman gapił się na mnie.

– Peristella – powiedziała, kreśląc kółko na czole. – Kakos. Poli kakos.

Gdy tylko zapadł zmrok, weszłam do gaju oliwnego, który rozciągał się od plaży ku szczytowi wzgórza, niknąc w ciemnościach. Wiała lekka bryza, a za plecami słyszałam szmer fal biegnących do brzegu i z powrotem. Był cudowny wieczór.

Myślałam, że Peristella przybędzie w ten sam sposób jak za dnia, szybko i głośno. Ale tym razem jej obecności nie zdradził żaden dźwięk. Po prostu niespodziewanie stanęła za mną i rzekła cicho na powitanie:

– Krystyno. Kalispera.

– Kalispera – powtórzyłam.

– Chodź za mną – rzekła już po angielsku.

Poszłyśmy biegnącą wśród drzew ścieżką. Przez tysiącletnie gałęzie przeświecała tarcza księżycy. Wchodziliśmy coraz wyżej, aż dotarliśmy do małej, białej chatki. Tu Peristella przystanęła, otworzyła drzwi, a kiedy weszłyśmy, zapaliła świeczkę. Wówczas zobaczyłam, że nie jesteśmy w domu, a w kaplicy, z małym ołtarzem i kilkoma ikonami. Przypuszczałam, że Peristella jest jej właścicielką.

– Twoja? – zapytałam.

– Nie – odpowiedziała. – Należy do Terpsy-chory, bogini tańca. I ja też.

Pasowało to do niej.

– Wiesz, dlaczego tu jestem – rzekłam. – Czy możesz mi coś powiedzieć?

Spojrzała na mnie uważnie. W drgającym płomieniu świecy jej uroda wydała mi się nierealna, eteryczna. Peristella uśmiechnęła się.

– Porozmawiamy o tym później – powiedziała. – Teraz zatańczymy.

Nigdy nie zrozumiem, jak to się stało, ale nagle zabrzmiała cudowna, łagodna muzyka. Miałam uczucie, jakby noc wypełniła się czarami.

– To jest pieśń Terpsychory – wyjaśniła Peristella. – Pierwsza muzyka w moim życiu.

Uniosła w górę ramiona i zaczęła powoli krążyć. Sprawiała wrażenie małej dziewczynki na lekcji baletu. Odchyliła się w tył, wygięła plecy i wypięła w górę piersi. Wiedziałam, że to, o czym teraz myśli, nie zajmuje umysłu małych dziewczynek. Poruszała się powoli, a ja obserwowałam węzowe ruchy jej pięknego ciała. Taniec ten był niezwykle podniecający, poczułam pierwsze fale pożądania. Zrzuciłam ubranie, moja głowa i piersi falowały, a stopy wybijały rytm tajemniczej muzyki. Teraz rozumiałam wyraz oczu Greczynki, gdy wyznaczała mi miejsce spotkania.

Nie czułam żadnego przymusu. Chciałam brać udział w tej grze, dopóki obie wyrażałyśmy na to zgodę. Uważnie śledziłam tańczącą dziewcz-

czynę, która stopniowo przestawała kontrolować swoje ruchy. Przypomniałam sobie, co powiedział mi kiedyś wielki Simoneescu, zanim zostaliśmy kochankami: „Gdy tańczę, to jest tak, jakbym kochał się sam ze sobą”.

Właśnie Peristella to robiła; uprawiała pewien sposób miłości, który był przygotowaniem, a jednocześnie pokazem samym w sobie.

Nagle muzyka ucichła. Dziewczyna stała na środku kaplicy, a jej piersi falowały w rytm oddechu. Tęskniłam, aby położyć na nich dłonie. Bardzo chciałam stanąć za nią, objąć i przycisnąć jej pośladki do swoich bioder. Drżałam z niecierpliwości, aby poznać każdy punkt tego pięknego ciała.

Chyba czytała w moich myślach. Odwróciła się wolno i rzekła:

– Tańczysz?

– Tak, ale nie tak pięknie jak ty.

– To bardzo proste – zapewniła.

– A więc naucz mnie – zaproponowałam.

Znów zabrzmiała muzyka. Zdawała się dochodzić zewsząd. Peristella podeszła, biorąc mnie za rękę.

– Chodź – rzekła. – To stary taniec. Kiedyś wszyscy młodzi musieli go znać.

Stała obok mnie, pokazując mi pierwsze kroki tego starożytnego tańca. Tak jak powiedziała, był prosty. Po kilku sekundach podążałam za nią jak cień.

– Właśnie tak! – krzyknęła. – Hella! Hella!

Jej namięty głos podniecał mnie jak wprawa na ręką. Tempo muzyki stawało się coraz szybsze. Zaczęłam improwizować, rozrzucając ramiona i wirując dziko z rozwianymi włosami. Peristella również przyśpieszyła. W jej oczach błyszczała gorączka tańca i obietnica rozkoszy.

– Hella! – zakrzyknęła.

– Hella! – powtórzyłam.

Nie myślałyśmy, jedynie poddałyśmy się duchowi tańca. Krążyłyśmy po kaplicy w takt wzrastającego tempa muzyki, zatracając się w jej rytmie. Przedłużałyśmy pragnienie seksualnego spełnienia. Byłyśmy jak dwie elektrody przekazujące sobie energię miłości, pobudzając ją każdym nowym krokiem, nowym obrotem, uśmiechem.

Muzyka zwolniła. Peristella przestała wirować i podeszła do mnie. Ruchy miała powolne, a w oczach błyski. Zaczęłyśmy zataczać wokół siebie kręgi. Spoglądałyśmy na nasze ciała w milczącej zgodzie wspólnego pożądania. Miałam wrażenie, że ta muzyka gra wewnątrz, poruszając mną niczym marionetką. Wyczekiwałyśmy na odpowiedni moment. Na chwilę muzyka ucichła. Stanęłyśmy bez ruchu, ciężko dysząc.

– Teraz – wyszeptła Peristella.

– Teraz – powiedziałam.

Zrobiła krok w moim kierunku, a ja otworzyłam ramiona na powitanie. Przyłgnęła do mnie,

zaczęłyśmy leniwie tańczyć. Była trochę niższa i czułam jej twarde sutki poniżej własnych. Działy na mnie jak rozpalone żelazo.

– Chdź bliżej – szepnęłam.

Jeszcze ciaśniej owinęła ręce wokół mojej tali. Czułam jak jej ciało drży, lgnąc do mojego. Na szyi czułam ciepło jej oddechu. Nieoczekiwanie zmieniła się w niewinne dziecko czekające na pieszczoty, ulegające dobroci i mądrości starszego, bardziej doświadczonego kochanka. To, oczywiście, była jej poza, gdyż wiedziałam, że jest tak samo, a może bardziej doświadczona, gdyż oprócz Terpsychory była służebnicą boga Erosa.

– Krystyno – usłyszałam jej szept – moja cudowna kochanko...

– Cii... – powiedziała – po prostu obejmij mnie.

Tańczyłyśmy jak we śnie. Greczynka powoli gładziła moje plecy, schodząc niżej, na półkę pośladków. Coraz bardziej odczuwałam pragnienie zbliżenia.

– Tak, kochana – mruczałam – dotykaj mnie... dotykaj właśnie tak. Uwielbiam to... pozwól mi czuć twoje ręce...

Wzmocniła uścisk. W odpowiedzi ja zaczęłam głaskać jej biodra i pośladki.

W kaplicy słychać było nasze oddechy. Nagle Peristella znów przejęła inicjatywę. Odsunęła mnie trochę, spojrzała mi w oczy. Uśmiech powoli rozjaśniał jej twarz. Przyciągnęła mnie i za-

częła całować długo i głęboko. Mój język pomknął na spotkanie. Nigdy przedtem nie pragnęłam pieszczot dziewczyny tak bardzo, jak tej pięknej Greczynki.

– Peristello! – krzyknęłam – Peristello! Chcę ciebie! Teraz, proszę. Kochaj mnie...

– Nei... nei... – wyszeptała. – Poli oreios...

– Dotykaj mnie, Peristello. Dotykaj... – błagałam.

Sięgnęła do moich piersi, wzięła w palce sutki. To dotknięcie wywołało huragan, rozsadzało mnie. Straciłam kontrolę. Upadłam przed nią na kolana całując brzuch, czując blisko jej drżące ciepło. Długo całowałam śliczne kędziorki ukrywające wzgórek Wenery, wreszcie mój język wtargnął między pulsujące różowe płatki.

– Aj! – krzyknęła. – Aj!

Wiedziałam, że byłaby zadowolona, gdybym doprowadziła ją do orgazmu w ten sposób, ale miałam inny pomysł. Po pierwsze chciałam obserwować jej twarz w czasie, gdy osiąga rozkosz. Pragnęłam, aby należała do mnie, tylko do mnie – przynajmniej tego wieczoru.

Powoli wstałam, wzięłam ją za rękę i poprowadziłam do długiej ławy, jedynego mebla w małej kaplicy.

– Połóż się, kochana – powiedziała miękko, chcę patrzeć na ciebie.

Zrobiła tak, jak prosiłam, przeciągnęła się jak zadowolony kot. W poświęcie księżycy i przy pło-

mieniu świecy wyglądała jak prawdziwa bogini. Mrucząc wiła się, przesuając dłońmi po ciele. Ręce wędrowały wolno, głaszcząc piersi, brzuch i wżórek. Wsunęła palec między uda drażniąc się.

– Nie, kochana – powstrzymałam ją – to moje.

Zamknęła oczy i poprowadziła moją rękę. Z całej siły zaczęła naciskać na dłoń. Posuwała ją wijąc się, kręcąc i jęcząc z podniecenia.

– Och! – krzyczała. – Tak mi dobrze!

– Tak, kochana – zapewniłam – będzie ci wspaniale!

Środkowym palcem rozdzieliłam płatki, otwierając kwiat wystarczająco, aby zobaczyć drgające wnętrze. Z satysfakcją obserwowałam to, co osiągnęłam.

Peristella nie przestawała poruszać się; oczy miała półprzymknięte, usta rozchylone, twarz mokrą od potu. Była tak samo piękna jak przed chwilą w tańcu.

– W środku... – prosiła – chcę czuć cię w środku...

Nie byłam jeszcze całkiem gotowa. Nadal pieściłam ją wkładając i wyjmując palec na całą długość. Drżała jęcząc. W końcu miałam wrażenie, że dłużej nie wytrzyma. Zaczęłam dotykać wejścia do jej szparki wokół wilgotnego ciepła. Złapała moją rękę i wcisnęła w głab.

– O, tak! – zapiszczała – Tak... Krystyno... właśnie tak...

Rzucała się bardziej niż poprzednio. Szybko zatopiłam w niej drugi i trzeci palec. Uniosła biodra, żeby palce weszły jeszcze głębiej.

– Nei... nei... nei... – śpiewała.

Za kilkanaście sekund zeszytniała pod wpływem niesłychanie silnego orgazmu. Krzyczała wygiąwszy plecy w łuk. Trwało to dłużej niż minutę. Wyczerpana opadła na ławę. Usiadłam obok, gładząc jej atlasowy brzuch.

– Nei... nei... – powtarzała. – Poli kalo... poli kalo...

Początkowo czułam jakby jej przeżycie było także moim i zadowoliliłam się po prostu siedzeniem przy niej, dotykaniem i słuchaniem słów wypowiedzianych szeptem. Ale po kilku minutach moje pożądanie zaczęło znowu rosnąć. Chyba czytała w moich myślach, bo szybko usiadła na ławie.

– Poczekaj tu – powiedziała. – I zamknij oczy. Mam coś dla ciebie.

Wyciągnęłam się na ławie i zamknęłam oczy, jak prosiła.

– Teraz otwórz oczy – powiedziała miękko.

Gdy spojrzałam, dziewczyna stała nade mną w rozkroku. Była wciąż naga, ale tym razem miała na sobie elastyczny pas wokół klatki piersiowej, z którego zwisały puszyste chwościki.

Nie są mi obce akcesoria erotyczne. Miałam styczność z wieloma rodzajami wibratorów, elektrycznymi szczoteczkami do zębów i innymi, ale

nigdy nie widziałam czegoś takiego. Ciekawość wzmogła moje pragnienie.

– Skąd to masz? – spytałam.

– Od Erosa – odparła – mojego drugiego boga.

Pochyliła się nade mną. Pędzelki zwiślały, drażniąc moją skórę. Peristella zaczęła się kiwać wolno w tył i w przód, nućąc jakąś starą melodię. Chwościki falowały wraz z nią, muskając gładką powierzchnię mego brzucha. Początkowo ich dźwięk łaskotał, pobudzając mnie do chichotu. Wkrótce ośwładnęło mnie inne uczucie.

– Mmmm... – mruczałam – jak przyjemnie...

Peristella stanęła teraz tak, że pędzelki dotykały czubków moich piersi. Moja szparka zaczęła się zaciskać i otwierać, dotrzymując kroku twardej, nieugiętej sutkom. Miałam takie uczucie, jakby setki aksamitnych palców pieściło mnie.

– Tak – wyszeptalam – to cudowne... Nie przestawaj, Peristello...

Byłam niewiarygodnie podniecona, wiałam się i jęczałam na ławie pod wpływem subtelnej pieśszcoty. Nie wiedziałam, jak długo to wytrzymam. Musiałam otrzymać zaspokojenie i to im szybciej tym lepiej!

– Peristello! – błagałam – nie mogę wytrzymać! Użyj swego palca, czegokolwiek...

Nie zauważyłam, jak wsunęła na biodra drugi pas, podobny do pierwszego, ale z jednym końcem. Zwiślał dokładnie między moimi rozpostartymi nogami. Peristella sięgnęła i ustawiła go tak,

że dotykał mnie nie wchodząc w szparkę. Szybkim ruchem rozdzieliła me wargi i włożyła go. Znow zaczęła wykonywać ruchy i wraz z nią przesuwały się zakończenia na górnym i dolnym pasie.

Tylko taka doświadczona tancerka jak ona, mogła pogodzić te dwa ruchy. Do dziś nie wiem, jak to robiła.

Ale nieważne! Co też to było za cudowne uczucie! Wibrujący niemalże w moim wnętrzu pędzelek podniecał mnie do granic wytrzymałości, widok ciała falującego nade mną przyprawiał mnie o szaleństwo. Kilka sekund później przeżyłam cudowny orgazm, który był tak silny, że nie mogłam krzyczeć. Ulegałam jego milczącej sile, która usunęła z mego umysłu wszystko oprócz rozkoszy.

– Och, Peristello... To było boskie...

I zapadłam w otchłań.

Po pewnym czasie Peristella zbudziła mnie.

– Chodź – powiedziała – muszę ci coś pokazać.

Wstałam i ubrałam się szybko, a potem wyszłam za nią z kaplicy. Księżyc zajmował wysoką pozycję na niebie, świecąc niczym wielki lampion. Greczynka prowadziła mnie wąską ścieżką, szłam za nią milcząca, czerpiąc radość z tego spaceru w świetle księżycy.

Po kilkunastu minutach marszu dotarliśmy do wejścia do jaskini.

– Punkt obserwacyjny piratów – rzekła – od dawna nie używany.

Chciałam dokładnie zbadać grootę, ale Peristella nie pozwoliła mi. Znów wspinałyśmy się na szczyt wzgórza. W dole, jak naturalna serweta, rozciągało się Morze Egejskie. W oddali dostrzegłam ciemny zarys gór i uśpione wsie poniżej. Nagle ujrzałam jakieś dziwne, zamazane światło. Spojrzałam na Peristellę, lecz ona wskazała palcem na morze. Skierowałam wzrok w tamtą stronę, ale niczego nie ujrzałam. Miała lepszy wzrok niż ja.

– Spójrz – wskazała. – Widzisz światła?

Wpatrywałam się w morze, ale w blasku wody wszystko traciło kształty. W końcu dostrzegłam serię świetlnych punktów błyszczących jak gwiazdy.

– Widzę – odparłam. – Co to jest?

– Po prostu patrz – kazała.

Wykonałam polecenie. Po chwili doszłam do wniosku, że tajemnicze migotanie powoduje ruch przedmiotu w górę i w dół. To musiały być światła małego statku.

– Trochę za późno na łowienie ryb – spostrzegłam głośno.

– To nie połów – odpowiedziała mi. – Popatrz tam!

Znów podążyłam za jej palcem ku mniejszej

wyspie odległej o kilka mil. Nagle, jak zza olbrzymiej ściany, wysunęła się długa seria światła. Wyglądały jak małe miasteczko oderwane od wyspy i dryfujące ku pełnemu oceanowi.

– A cóż to takiego? – zapytałam.

– Tankowiec – odpowiedziała. – Wielki! Spójrz na ten mniejszy statek.

Przeniosłam wzrok na stateczek akurat na czas, aby zobaczyć jego gasnące światła. Wyglądało to tak jakby zniknął z powierzchni morza, a pozostał jedynie tankowiec.

Wielki statek powoli i majestatycznie przepływał cieśninę. Wyglądał jak król. Przypomniałam sobie mniejszą jednostkę z wygaszonymi światłami. Z łatwością zorientowałam się, jakie ma zadanie.

– Zaatakują? – zapytałam Greczynkę.

– To tylko zwiadowcy – potrząsnęła głową – śledzą tankowiec. Tu nie zaatakują, na Morzu Egejskim jest za dużo patroli. Poczekają, aż wyjdzie na otwarte morze.

– A jeżeli zwiadowcy mają tutaj swoją bazę? – myślałam głośno.

– Nie tutaj. Pochodzą z Afryki – zaprzeczyła Peristella.

Byłam zaskoczona. Taka młoda dziewczyna, a tyle wie o działaniach piratów. Wyglądało na to, że swoją wiedzę zawdzięcza komuś z Amorgos.

Chyba czytała w moich myślach.

– Wiem, co nie daje ci spokoju – uśmiechnęła

się tajemniczo – ale to nieprawda. Na Amorgos nie ma nikogo, kto byłby zamieszany w piractwo. Gdyby tak było, wierz mi, wiedziałabym o tym.

– Skąd wiesz, że są z Afryki? – pytałam.

– Mówiłam ci wcześniej – wyjaśniła – moją sprawą jest wiedzieć. Moją sprawą i moją sztuką.

ROZDZIAŁ VIII

Po powrocie do hotelu otrzymałam telegram. Usiadłam na brzegu łóżka, aby go przeczytać. Oczekiwałam jakiejś wiadomości z „World”. Zdumiałam się, że został nadany nie w Nowym Jorku, a w Londynie przez Sir Johna Drury’ego.

Depesza donosiła, że kolejny tankowiec został właśnie porwany przez piratów. Tym razem w pobliżu Seszeli na Oceanie Indyjskim u brzegów Afryki.

A więc Greczynka miała rację. Baza piratów mogła rzeczywiście zostać umiejscowiona gdzieś na wybrzeżach Czarnego Kontynentu.

Następnego ranka opuściłam hotel, zostawiając kartkę do Peristelli. Napisałam jej dokąd jadę oraz że mam zamiar szybko wrócić.

Złapałam łódź do Mikonos, a tam czekał już na mnie mój pilot. Wystartowaliśmy wieczorem i następnego ranka dotarliśmy na Mahe, największej wyspy wśród Seszeli. Uważałam, że okoliczności, które mnie tu sprowadzają, były nad wyraz szczęśliwe.

Seszele – to najpiękniejsze wyspy ze wszystkich na świecie. Miałam okazję przebywać tu już dwa razy. Po raz pierwszy, aby zrobić artykuł o ministrze Edgarze Brasco, a później – drugi raz – na jego prywatne zaproszenie. Edgar był wielkim łobuzem i jednocześnie wspaniałym kompa-

nem. W przeciwieństwie do większości polityków nie obchodziło go, co ludzie o nim mówią. Jego zamiłowanie do luksusowych samochodów i słynne wypadki z haremem pięknych dziewczyn na plażę, wyrobiły mu reputację i przezwisko „ministra-playboya”.

Świat wiedział o nim wiele i pobił za niego. Edgar miał dużo wdzięku i zauroczył wszystkich. Nie przypuszczano jednak, że minister nie był typowym Szeszelończykiem.

Aby to zrozumieć, trzeba znać wyspy. Znał je generał Charles „Chinese” Gordon. Zafascynowany nimi, opracował własną teorię dotyczącą tego miejsca; w jego pojęciu na nich właśnie znajdował się Raj.

Pod wpływem niewypowiedzianie pięknego krajobrazu i wspaniałej pogody, mieszkali tu ludzie żyjący głównie dla przyjemności. Seks jest tu czymś naturalnym i nieskrępowanym. W wyniku tego na Szeszelach rodziło się więcej nieślubnych dzieci niż w innych częściach świata. Edgar również pochodził z nieprawego łoża. Ale nie to zadecydowało o jego sukcesie ani o upadku. Zamasz stanu, który go usunął, był zupełnie w stylu Szeszeli.

Stało się to wieczorem, podczas obchodów szeszelskiego Dnia Niepodległości. Edgar opuścił olbrzymie przyjęcie wydane – jak każe czarujący wyspiarski zwyczaj – przez lokalną opozycję. Przewodził jej bogaty plantator Armand Mi-

chaud. Okazja miała znaczenie symboliczne. Kiedy beztronski prezydent wybrał się do ogrodu z dwiema swymi kochankami i gdy się tam słodko zabawiali, Michaud po prostu kazał opuścić flagę z masztu i wciągnąć swoją. Generałowie obecni na uroczystości byli zbyt pijani, aby protestować.

Edgar obudził się następnego dnia jako eks-prezydent. Postanowił coś z tym zrobić, ale najpierw chciał pozbyć się strasznego bólu głowy. Jedynym skutecznym lekarstwem była wycieczka do Londynu. Posiadał tam pięć nocnych klubów i należał do grona szanowanych i uznawanych osób. Po południu wyjechał cicho do Londynu i nigdy już nie powrócił na wyspy.

Spotkałam kiedyś Michauda, ale niezbyt dobrze go pamiętałam. Sir John nadmieniał w telegramie, że ktoś z otoczenia prezydenta wyjdzie mi na spotkanie. Zaskoczyło mnie, że do samolotu podeszła czarna kobieta, ubrana w kolorowy sarong.

Z wdziękiem wyciągnęła do mnie rękę i pośłała miły uśmiech.

– Panna van Bell? – zapytała z wyraźnym oksfordzkim akcentem. – Jestem Wanja Gitau. Prezydent Michaud polecił mi powitać panią.

Poczułam się oczekiwana i pożądana jako gość. I powiedziałam jej to. Uśmiechnęła się znowu:

– Chodź, proszę – rzekła. – Armand przygotował małą uroczystość na twoją cześć.

Zauważyłam, że nazywa prezydenta po imie-

niu, a więc była pewnie jego faworytą. Nie myślałam się.

W czasie jazdy przez Viktorię, stolicę Seszeli, Wanja opowiedziała mi o sobie ze szczerością. Pochodziła z Afryki Wschodniej, z plemienia Kikuju. Ojciec był kenijskim ambasadorem w Wielkiej Brytanii. Tam też się uczyła i zdobyła ogładę towarzyską. Spotkała Edgara Brasco w czasie wakacji na Sardynii i od razu została jego kochanką. Gdy prezydentura Seszeli wymknęła mu się z rąk, stracił też Wanję.

– Miałam dość Londynu do końca życia – wyjaśniła podczas jazdy.

Wyjechaliśmy z Viktorii na nadbrzeżną autostradę, po czym skręciliśmy na boczną drogę wśród palm. Na jej końcu znajdował się parking wypełniony różnymi ekskluzywnymi samochodami. Z oddali dochodził szum fal uderzających o brzeg.

– Myślę, że będzie ci się podobało przyjęcie – powiedziała Wanja. – Armand jest jeszcze lepszym prezydentem niż Edgar.

Nie zrobiłam więcej niż kilka kroków i już wiedziałam, co miała na myśli.

Ścieżka do domu wiodła przez gaj palmowy, a wśród drzew fruwały czarne seszelskie papugi. Prawie pod każdym z drzew siedziały lub stały pary znajdujące się w różnych stadiach uprawiania miłości. Krzyk ptaków mieszał się z mieszanią różnych języków. Wyglądało to tak, jakby całe

Narody Zjednoczone brały udział w orgii. Ciepła bryza od oceanu podniosła moją spódnicę i taśkotała moje ciało.

Wanja również zorientowała się, co czuję. – Nie teraz, jeszcze nie – powiedziała. – Armand chce cię zobaczyć. Potem będzie czas na wszystko.

Była to typowa tutejsza odpowiedź i szybko dostosowałam się do tej atmosfery. Oczywiście, miała rację. Pośpiech tu nie istniał. Doszliśmy w końcu do celu. Dom stał na skraju plaży i gaju palmowego. Pośród drzew, koło domu, na plaży, wszędzie – stały i leżały pary zatopione w miłości.

Wanja wprowadziła mnie do domu. Natychmiast na nasze spotkanie wyszedł krępy, brązowoskóry mężczyzna w średnim wieku. Był zupełnie nagi. Pocałował Wanję namiętnie i gorąco, a potem spojrział na mnie.

– Panno van Bell – powiedział z uśmiechem – jestem szczęśliwy mogąc przywitać przyjaciółkę ancien régime.

Był to wyraźny przytyk pod moim adresem i wymagało to natychmiastowej riposty.

– Tradycje mają siłę przetrwania – rzekłam. – W porównaniu z przeszłością, teraźniejszość wydaje mi się trochę wątpliwa!

Spojrzałam znacząco na jego członek zwisający między udami. Podniosłam głowę i zaczęłam mu się przyglądać tak samo jak on mnie.

Te słowa mogły go obrazić i zmienić moje życie lub pobyt na wyspach. Ryzykowałam, ale instynktownie czułam, że jest to konieczne, jeśli mam dostać od niego pomoc.

Miałam rację. Wybuchnął głośnym śmiechem.

– Wspaniale! – krzyknął – a może potrafisz zrobić coś, aby terazniejszość była porównywalna z przeszłością?

Wyciągnęłam rękę i lekko ścisnęłam jego męskość.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparłam.

– Po naszej stronie – poprawił mnie, położył dłoń na moich piersiach i pocałował je przez sukienkę.

– Czy zechciałabyś teraz oswobodzić się z ubrania? Chciałbym ci coś pokazać.

Nie potrzebowałam ponaglenia. Szybko zdjęłam fatalazki i stanęłam przed nim naga. Popatrzył na mnie z niekłamanym podziwem; wiedziałam, że egzamin zdałam.

Wprowadził mnie do domu do głównego salonu, który chyba był wielkości boiska do koszykówki. W wielkich wgłębieniach umieszczono palmy kokosowe, które nawet tu, w głębi domu, kołysały się. Eleganckie meblowanie pokryte jedwabiem ozdabiały jaskrawe poduszki.

Chociaż chciałam podziwiać architekturę i wystrój wnętrza, nie mogłam poświęcić temu

wiele czasu. Odbywała się tu szalona orgia. Grupy spontanicznych ludzi rozlokowały się w całym pomieszczeniu, wykonując ekstatyczny taniec miłości. Wyglądało to na wielki improwizowany balet. Marzyłam o tym, żeby wziąć udział w tym szalonym przedstawieniu. Czułam znajome drżenie między nogami, które mówiło mi, że muszę zaraz otrzymać satysfakcję. Dłoń Armanda lekko ugniatała mi piersi, podczas gdy moja ręka znalazła się wokół budzącej się szczelinki.

– Armandzie – szepnęłam – przyłączymy się do nich?

– Są trochę bardziej zaawansowani – odpowiedział – najpierw dorównajmy im.

Dalej masował i pieścił moje piersi, od czasu do czasu szczypiąc sutki, żeby stwardniały. Ja natomiast pieściłam swoje sekretne miejsce. W czasie tej zabawy moją uwagę zwróciła jedna z par. Piękna, młoda kobieta oplotła nogi wokół piersi swojego arabskiego kochanka, szepcząc mu do ucha czułe słowa. Ten widok podniecił mnie jeszcze bardziej.

– Och! – jęknęłam. – Co za wspaniałe przyjęcie!

– To dla ciebie, złotko – powiedział Armand. – Jesteś gościem honorowym.

– Jeśli tak – szepnęłam – to bardzo bym chciała zostać uhonorowana.

Odpowiedział szerokim uśmiechem.

Rozwarłam uda, aby go przyjąć, a on ugiął kolana i cudownie twardy penis wśliznął się mię-

dzy moje nogi. Nie wszedł we mnie, tylko delikatnie rozdzielał i pocierał nabrzmiałe płatki. Zaczęłam kręcić biodrami, chcąc zwiększyć przyjemność. Cały czas spoglądałam na splecioną w miłosnym uścisku francusko-arabską parę.

– Jakie to miłe, kochanie...

– Tak, tak – usłyszałam jego szept.

Spostrzegłam, że ruchy oliwkowo-brązowej pary stają się coraz szybsze i mocniejsze. Nogi dziewczyny namiętnie przywarły do kochanka, a on gładko falował na niej niczym naoliwiony mechanizm. Na ten widok i ja zaczęłam wykonywać szybsze ruchy, ocierając się sutkami o mego partnera.

– Chodź, moja kochana – szeptał – chodź!

Nagle poczułam, że Armand mnie unosi. Przeniósł mnie na drugi koniec pokoju i tam mnie położył. Stał nade mną i patrzył, podczas gdy ja trzymałam piersi ofiarowując mu je.

– Chodź do mnie – mruczałam – chodź, kochany, cudowny!

Rozłożyłam szeroko nogi, w chwilę później klęczał między nimi. Uniosłam biodra, sięgnęłam po jego penis i umieściłam go u wejścia do mojej szparki. Oplotłam go nogami tak jak tamta dziewczyna, a on jednym silnym ruchem wszedł we mnie.

– Tak, kochany... – dyszałam – weź mnie... zabierz mnie na swoje przyjęcie...

Dołączyliśmy do otaczającego nas morza mi-

łości. Wpadliśmy w jego główny nurt. Poczulałam pieśczoły anonimowych kochanków. Żaden pojedynczy partner nie dał mi takiej rozkoszy. Miałam wrażenie, że wszyscy jesteśmy zaangażowani w jakieś misterium seksualne. Oddaliśmy siebie, każdą część ciała na usługi zbiorowej, erotycznej przyjemności. Czuliśmy i odbieraliśmy pieśczoły wszystkich. Wrażenie rosło w miarę jak członek Armanda drgał w moim wnętrzu. Zaczęłam temu ulegać. Zanim nadszedł znajomy dreszcz pomyślałam tylko: „Malcolm miał rację. To jest raj!”

Nieco później, gdy wróciliśmy do równowagi po tych upojnych przeżyciach, Armand klasnął w dłonie, prosząc o uwagę.

– A teraz wszyscy do groty! – zawołał. – Rozpoczynamy zabawę!

Poprowadził mnie w dół kręconymi schodami, do pokoju zupełnie pogrążonego w ciemnościach. Reszta uczestników szła za nami, szepcząc między sobą w podnieceniu.

Kiedy zabłysło światło, zaczęłam jeszcze bardziej doceniać prawdziwy talent architekta, który zaprojektował ten dom. Przede mną znajdował się basen, niepodobny do czegokolwiek, co widziałam dotychczas. Prawdę mówiąc, nie był to basen, ale turkusowy ocean został wprowadzony do wnętrza, a jego realizm podkreślał przeniesiony tu fragment rafy koralowej. Pod wodą było

widać jej kontury, koronkowe brzegi załamywały się i rozpraszały prześwietlające wodę światło. Na jej tle pływały stada kolorowych tropikalnych ryb, a nawet małe ośmiornice. To wszystko stanowiło najbardziej wyszukane i najstaranniej dobrane akwarium. Patrząc na to niemal zapomniałam, że toczy się przyjęcie.

Ale Armand szybko mi o tym przypomniał. Nie tylko mnie, ale wszystkim. Wokół basenu stały dziesiątki leżanek dostatecznie obszernych dla dwóch osób. Uczestnicy siadali na wybrane miejsca, niewiele uwagi poświęcając wyborowi swojego sąsiada. Łączenie się w pary było tu czymś naturalnym. Znalazłam miłe miejsce pod drzewem w towarzystwie blondwłosego olbrzyma o wąskich niebieskich oczach. Ale nie to mnie w nim najbardziej zafascynowało, z zachwytem patrzyłam na jego członek, który odpowiadał jego słusznej posturze.

– Cześć! – powiedział. – Jestem Jan.

– Krystyna – odpowiedziałam. – Miło mi cię poznać.

Przyjrzał mi się dokładnie i zamknął moje dość duże piersi w swoich dłoniach, nakrył je całkowicie.

Z rozbawieniem spjrzałam na jego ogromne dłonie.

– Pierwsza odsłona! – zawołał Armand. – Kto szybciej?

– Czy to znaczy – szepnęłam do mojego partnera – że teraz będą wyścigi?

– Tak. – Kiwnął energicznie głową. – Ale poczekaj. Patrz!

W chwilę później na brzegu basenu dostrzegłam trzy pary. Każda z nich składała się z osoby jasno i ciemnoskórej. Sądzę, że to był pomysł Armanda, który dawał wyraz swoim upodobaniom do kontrastów. I naprawdę robiło to wrażenie!

– Do wody! – krzyknął Armand.

Pary wskoczyły do basenu. Potem podpłynęły do siebie.

– Teraz! – krzyknął znowu. – Zaczynajcie!

To, co nastąpiło, nie przypominało żadnej z dyscyplin sportowych. Oni po prostu zaczęli uprawiać miłość. Zatrzymali się, czekając na następny sygnał Armanda.

– Już! – wrzasnął gospodarz. – Start!

W mgnieniu oka odpłynęli od brzegu, wciąż połączeni. W pierwszej chwili zaskoczyło mnie to, ale zaraz odkryłam, jakie to jest podniecające. Kobiety pozostały pod wodą, tylko ich twarze wystawały, umożliwiając oddychanie. Cały trud pływania przejęli mężczyźni. Płynnymi, silnymi ruchami naciskali na partnerki, wsuwając w nie coraz głębiej swe członki. Nie przypuszczałam, że coś takiego jest możliwe.

Gdy to obserwowaliśmy, Jan dłońmi zaczął zataczać kręgi wokół moich piersi. Odpo-

wiedziałam natychmiast, ocierając się o jego muskularne ciało.

Zawodnicy tymczasem osiągnęli spełnienie. Najpierw pierwsza, potem następne pary dobrnęły do brzegu. Każdy mężczyzna wyniósł swoją partnerkę na obrzeże, potem kochankowie odegrali ostatnie takty miłości, wydając niemal chóralne okrzyki rozkoszy. Towarzyszyli im entuzjazm reszty zgromadzonych.

– Wspaniale! – wykrzyknął Armand. Objeżdżał mocno swoją Wanję, pieszcząc ją. – Teraz następny numer! Do wody!

Znów na nabrzeżu stanęły trzy czarno-białe pary. Zupełnie jakby Armand zamówił je w jakiejś fabryce. Jednocześnie wskoczyli do basenu. Teraz mężczyźni ustawili się za kobietami, przepłynęli pod pośladek swoich partnerek i wprowadzili penisy w ich wnętrza.

Jan coraz mocniej ugniatał moje piersi. Uszczypnął mnie. Postąpiłam identycznie. Wszystkim przewodził Armand i chociaż obserwował pływaków, jednocześnie pieścił Wanję, a dziewczyna bawiła się jego penisem i jądrami.

Jan i ja również ulegliśmy nastrojom. Drugą ręką pieścił moje nogi od kostki aż po włoski na łonie. W rewaniu zaczęłam lekko gryźć jego ramiona i szyję. Kontynuowałam inne pieszczoty.

– Czy jesteś zadowolony, Janie? – pytałam szeptem.

– Tak... – odpowiedział.

Trzy pary osiągnęły potrójny orgazm, a tłum naokoło zareagował namiętnym okrzykiem. Nawet Armand wyjął rękę z dolnych partii ciała Wanji, aby wyrazić swój nickłamany podziw.

– Wspaniale! – krzyczał. – To triumf!

Wanja na nic nie zwracała uwagi, uklękła przed swoim kochankiem i wzięła w usta jego muskularny penis. Zaciśnęła wokół niego wargi i zaczęła rytmicznie nimi poruszać. Armand odruchowo gładził głowę dziewczyny, zapowiadając jednocześnie następny numer pod intrygującym tytułem „nurkowanie do celu”.

Zadaniem panienki było leżenie na wodzie z rozpostartymi nogami, panowie zaś nurkowali, usiłując złapać i pojąć dziewczynę.

Tylko Armand nie uległ nastrojowi, mimo ciężkiej pracy Wanji. Z błyskiem w oczach i z drżeniem kolan zdołał jakoś podnieść ręce do góry, prosząc o ciszę.

– Przyjaciele! – powiedział głośno. – Proszę o ciszę.

– Bardzo dziękuję – rzekł, gdy wszyscy się uspokoili. – Mamy gościa. Jest to ktoś bardzo specjalny. Przedstawiam wam pannę Krystynę van Bell ze Stanów Zjednoczonych, obecnie wydawcą magazynu „World”. Powitajmy ją!

Pozdrowiły mnie grzeczne, choć niezbyt entuzjastyczne oklaski. Odważnie uniosłam rękę i pomachałam wszystkim na powitanie.

– Krystyno – kontynuował prezydent – jesteś gościem honorowym i przygotowaliśmy dla ciebie benefis.

Teraz Armand naprawdę zmusił wszystkich do uwagi, a mnie przez moment zabiło żywej serce na myśl o tym, co też przygotował.

– A teraz proszę, aby panna Bell podeszła do mnie.

Wyswobodził się z objęć wyraźnie niezadowolonej Wanji, podszedł do mnie i podał mi rękę.

– Wybacz, Armandzie – powiedziałam – ale jestem dość mocno związana z tym oto przyłdkiem dobrej nadziei, jeżeli wiesz, o co mi chodzi. Czy mogę go wziąć ze sobą?

– Hmm – chrząknął – to trochę wbrew przepisom, ale dobrze, weź go mimo wszystko...

Jan wstał z sofy i podążył za mną. Armand zaprowadził nas na brzeg basenu.

– To tradycja Seszeli – zaczął bardzo oficjalnie – aby dla miłych gości zachować szczególnie powitanie. Uwzględniając to, proponuję ofiarowanie pannie van Bell... podwodne zapomnienie.

Niczego mi to nie wyjaśniało, a reszta sali wybuchnęła spontanicznym aplauzem. Przez moment przeleciała mi myśl o sadyzmie.

Wprowadził mnie do wody w miejscu, gdzie rafa tworzyła coś w rodzaju siodła. Kazał mi stanąć w rozkroku tak, że moją szparkę muskała powierzchnia wody. Ciepłe jej dotknięcie powtórnie mnie podnieciło.

– A gdzie Jan? – zapytałam.

– Ach, tak. Mała odmiana. Ależ oczywiście, oczywiście.

Dał znak Janowi, żeby do nas dołączył. Ustał go dokładnie za mną. W chwilę później Jan włożył swój członek między moje nogi wsuwając go cał za całem do drżącej i oczekującej szparki. Zaparło mi dech w piersiach. Pomogłam mu, ruszając biodrami i pochylając się, aż pochłonęłam go całego. Czułam się trochę jak na szczycie masztu.

– Bardzo dobrze – pochwalił Armand. – Teraz wszyscy ustawią się w rzędzie i zaczniemy!

Nagle z głośników popłynęła jakaś karaibska muzyka, goście rozdzielili się i ustawili w linii po raz pierwszy w prawdziwym porządku.

– Zaczynajcie! – Armand dał sygnał.

Pierwszy z gości, Malgasz, który przedtem wygrał konkurs nurkowania, wszedł do wody. W tym samym czasie Jan zaczął się we mnie poruszać z podniecającą łagodnością w takt muzyki.

Malgasz płynął ku mnie, a za nim podążali następni. Jan cały czas nie przestawał falować. Malgasz znalazł się pode mną, odwrócił się na plecy i dotknął językiem płatków otaczających moją szparkę.

– Och! – wykrzyknęłam z rozkoszy. – To nieprawdopodobne!

Nim zdążyłam ochłonąć z pierwszego szoku, otrzymałam podobny pocałunek od następnego.

– Och!

Teraz przepływał trzeci, zmuszając mnie znowu do okrzyku.

– O Boże! To niewiarygodne!

Nigdy nie przeżyłam czegoś tak rozkosznego. Wspaniały penis Jana penetrował moje najdalsze głębie. Krzyczałam.

Wciąż przepływali pode mną, pieścili mnie, lizali, ssali i całowali na wszelkie możliwe sposoby. A w tym wszystkim brał udział mój cudowny Jan. Drżąca i podniecona do granic wytrzymałości wykrzyczałam swoją spełnioną rozkosz.

ROZDZIAŁ IX

Kiedy noc miała się ku końcowi i goście zaczęli się rozchodzić, Armand zabrał mnie na cichy spacer wzdłuż plaży. Szliśmy w milczeniu, słuchając fal i obserwując ocean. Gdy byliśmy dość daleko od domu, Armand spojrzał na mnie.

– Muszę ci złożyć gratulacje – powiedział – nie często się zdarza, aby gość, w dodatku amerykański, tak szybko i bez wysiłku przystosował się do naszych, hmm, zwyczajów. Przeważnie ludzie reagują przerażeniem.

– To nie jest moja pierwsza wizyta tutaj – wyjaśniłam.

– Rzeczywiście, niemal zapomniałem o Brasco.

Miałam wrażenie, że w jego głosie usłyszałam zazdrość. Postanowiłam, że lepiej nie wspominać o byłym liderze Seszeli.

– Nie pierwsza – powtórzyłam – ale jak dotąd najlepsza.

Chyba to go usatysfakcjonowało. Postanowiłam zastosować znane mi dobrze z pracy w dziennikarstwie reguły: im więcej komplementów dla osób wysoko postawionych, tym lepiej. Zazwyczaj mała siła polityczna rządzącego idzie w parze z jego wysokim mniemaniem o sobie. Ci, którzy naprawdę coś sobą reprezentują, nie mają

czasu ani potrzeby zastanawiać się, co też inni o nich myślą.

Armand był – jak to oceniłam – gdzieś pośrodku. Ani nie dysponował wielkimi możliwościami, ani też nie należał do zarozumiałców.

W rzeczywistości pozycja Seszeli była większa, niż by na to wskazywała ich wielkość czy też opinia polityczna rządu. Leżały na najbardziej uczęszczanym i najdłuższym szlaku morskim. Stanowiły jedyną na tym obszarze stację uzupełniania paliwa. Pływały tu supertankowce z bogatych pól naftowych Indonezji i z Zatoki Perskiej. Wypami interesowali się zarówno Amerykanie jak i Francuzi, którzy mieli tu swoje bazy, a także Brytyjczycy i Rosjanie.

Zastanawiałam się, co też Armand wie o piractwie i w jakim stopniu będzie chciał mi pomóc.

– Wiesz – powiedział wreszcie – trochę mnie zaskoczyła wiadomość od Sir Johna.

– Trudno sobie wyobrazić, aby coś mogło cię zaskoczyć – odparłam kokieteryjnie.

– Cóż, jak wiesz, nie jesteśmy z nim po tej samej stronie politycznej bariery – odrzekł.

– Na pewno, ale większość ludzi stojących po stronie Sir Johna, została pochowana w opactwie Westminster.

Była to kolejna grzeczność pod jego adresem. Jeszcze od Edgara Brasco wiedziałam, że Armand jest na wskroś socjalistą, a może nawet

marksistą. Każdy ich związek z Sir Johnem byłby czymś godnym uwagi.

– No tak – kontynuował Armand – z powodu pewnych okoliczności musimy działać razem...

– Mówisz o piractwie naftowym? – przerwałam mu.

– ... które, jeśli dobrze go zrozumiałem sprawiło, że mam przyjemność cię gościć – kontynuował.

– Masz rację, ale chyba cała przyjemność jest po mojej stronie – odparłam uprzejmie.

– Nie masz chyba jeszcze pojęcia o tym, że mieliśmy taki niefortunny przypadek na naszych wodach – wyjaśnił.

– Powiedziano mi o tym – odrzekłam.

– Czy znasz szczegóły?

– Nie. Niestety, nie. Sir John był bardzo oszczędny w słowach.

– Sądzę, że wszystko poszło według starego wzoru. Tankowiec nazywał się „Iris” i miał pełen ładunek wysokogatunkowego surowca. Wszystko wyglądało normalnie – nic niezwykłego, żadnych podejrzeń. Potem – jak poprzedni – zniknął. Straciliśmy kontakt radiowy, a on jakby się rozplynął w powietrzu.

– A co z „Iris”? Znalaziono go? – zapytałam.

– Jeszcze nie.

– A gdzie załoga?

– Zaginęła – odprzą krótko.

Spojrzałam na niego badawczo.

– Czy to nie dziwne? – zapytałam.

– Wszystkie te porwania są cholernie dziwne – rzekł w zamyśleniu.

– Tak, ale w innych przypadkach załogę gdzieś odnajdywano.

– W innych przypadkach było gdzie znaleźć. Do tej pory atakowano statki w pobliżu brzegu. Tu są Seszele, żadnego brzegu w zasięgu tysiąca mil i prądy znoszą obrabowane tankowce daleko w głąb oceanu.

– Jakie szanse ma załoga, aby dotrzeć do lądu?
– Prawie żadnych.

Nie powinno mnie to szokować, biorąc pod uwagę wszystkie te wojny, morderstwa, gwałty, które opisałam w „World”. Jednak wciąż myślałam o ludziach dryfujących po otwartym oceanie, skazanych na powolną śmierć z głodu i pragnienia. Ta śmierć przypominała okrutną, barbarzyńską torturę. Jednocześnie wiedziałam, że motywy morderstwa wprowadzony do przygotowywanego artykułu zwiększy jego poczytność.

– Słuchaj – rzekł Armand, zdając się czytać w moich myślach. – Wiem, że przyjechałaś tu po to, aby napisać artykuł. Nie żywię ciepłych uczuć do Sir Johna, ale mam powody, aby ci pomóc.

– Cieszę się – powiedziałam. – Ale jak to zrobisz? Każdy jest w tej sprawie zdezorientowany, nawet ty.

– Tak, nawet ja – przystał – ale jutro na poszukiwanie „Iris” wyrusza kuter patrolowy. Jeśli chcesz, mogę ci załatwić wstęp na niego.

Teraz miałam dylemat. Być naocznym świadkiem poszukiwań zaginionego statku to nie to samo, co znaleźć się na supertankowcu, w samym centrum pirackiej akcji. Ale nie mogłam odrzucić oferty Armanda.

Musiiał zauważyć moje wahanie i natychmiast zareagował:

– Krystyno! – powiedział. – Wiem, że nie tego pragniesz.

– Masz rację – przyznałam. – Chcę popłynąć na jednym z tankowców.

– Nie – odmówił.

– A to dlaczego?

– To zbyt niebezpieczne!

A więc znowu. Wciąż muszę tracić energię, na pouczenie męskiej części świata. Staralam się, aby mój głos zabrzmiał cierpliwie i łagodnie.

– Armandzie – tłumaczyłam – nie do ciebie należy mówienie mi, co jest niebezpieczne. Przez całe życie miałam do czynienia z niebezpieczeństwami.

– Wiem o tym – powiedział – ale czuję się za ciebie odpowiedzialny.

– To miłe, ale zupełnie niepotrzebne – sama potrafię zadbać o siebie.

– Tak słyszałem... – rzekł wolno.

Przystanął i patrzył na mnie.

– W porządku – powiedział w końcu. – Jeden jest teraz lichtowany u brzegów Mahe...

– Lichtowany?

– Supertankowce mają dużą wyporność (na świecie jest mało głębokich portów), muszą więc zakotwiczyć zwykle około pięćdziesięciu mil od brzegu i mniejszy tankowiec rozładowuje olbrzyma. Nazywa się to lichtowaniem.

– No cóż, ciągle zdobywam nowe wiadomości – stwierdziłam.

– Odpływa jutro rano – kontynuował Armand. – Helikopter cię tam zabierze.

Objęłam prezydenta i ucałowałam gorąco. Jakby uwarunkowane jakimś seszelskim genem jego biodra zaczęły już się kołysać w tył i w przód. Myślałam, że dziś już mnie nikt nie rozbudzi, ale ku mojemu zdumieniu poczułam, jak piersi zaczynają mi falować. Wyswobodziłam się łagodnie i odeszłam na odległość wyciągniętej ręki.

– Dziękuję ci – powiedziałam – naprawdę naprowadziłeś mnie na dobry ślad. Kiedy wrócę, będę miała dużo wolnego czasu...

– To brzmi jak obietnica. Zaczekam na jej spełnienie.

Ujął mnie za rękę i poprowadził do domu. Byłam zadowolona, zmęczona i gotowa iść do łóżka – sama. Posłałam Armandowi pocałunek ręką i weszłam na schody.

Nagle olśniła mnie pewna myśl. Odwróciłam się.

– Armandzie – zapytałam. – Co to za tankowiec? Jak się nazywa?

– „Wanja” – odpowiedział z błyskiem w oczach. – Jestem jego właścicielem.

Następnego ranka zawiózł mnie na lądowisko.

– To spadek po Brasco – wyjaśnił. – On używał helikopterów, aby zdążyć się przebrać i rozegrać ostatnią partię golfa.

– „I zdobyć punkty” – mogłam dodać, gdyż byłam tego świadkiem.

Dyplomacja powstrzymała mnie od wspomnień.

Helikopter był gotowy do odlotu. Czeekało na nas dwóch identycznych bliźniaków.

– Krystyna van Bell – przedstawił mnie Armand. – A to Tom i Tony Davis. Załoga „Wanji” to Filipińczycy, pomyślałem więc, że będzie ci przyjemniej mieć koło siebie Amerykanów. Życie na morzu bywa czasem monotonne.

Spojrzałam na niego ostro. Nie jechałam na wycieczkę, nie miałam ochoty na żadne towarzystwo, amerykańskie czy inne.

Odpowiedziałam na powitanie bliźniaków. Mieli całkowicie amerykański wygląd, który mnie nigdy nie pociągał; krótkie blond włosy, regularne pospolite rysy.

Po chwili weszliśmy na pokład i wystartowaliśmy. Wkrótce wyspa Mahe została w dole, lśniąca jak pączek lilii na nieskończonym oceanie, a my dotarliśmy nad „Wanję”, ciemną linią na tle niebieskiej wody. Przy jej burcie kołysał się przyspany jak pijawka mały tankowiec.

Dopiero, gdy wylądowaliśmy na jego pokładzie, zdałam sobie sprawę, jaki to jest olbrzym.

Kapitan wyszedł do nas prawie natychmiast. Nazywał się De la Osa i pochodził z Argentyny. Był przystojny i natychmiast włączyłam go na listę środków przeciwko nudzie.

– Pan Michaud powiedział mi, że pisze pani artykuły o piractwie naftowym. Mam nadzieję, że nie zamierza go pani napisać z pozycji ofiary.

– A nawet gdyby? – zapytałam zaczepnie.

Kapitan zaśmiał się głośno i długo.

– „Wanja” jest najbardziej bezpiecznym statkiem we flocie – odrzekł. – Jest całkowicie zabezpieczona przeciw piratom.

– Całkowicie? – powtórzyłam za nim zdziwiona.

– Właśnie. Proszę pójść za mną, udowodnię pani, że nie blefuję.

Wziął mnie pod rękę w ten niewinny południowoamerykański sposób, który prowadzi do dużo mniej niewinnych rzeczy i poprowadził wzdłuż pokładu, cały czas opowiadając o statku.

Włączyłam magnetofon, który trzymałam w saszetce obok cieni do powiek. De la Osa i tak nie przestawał obracać językiem.

– Ile zabiera ropy? – pytałam.

– Około stu milionów galonów – wyjaśnił.

Gwizdnęłam z podziwu i zaczęłam szybko liczyć. Położył swoją rękę na mojej.

– Proszę się nie męczyć. Kiedy jesteście nała-

dowani do pełna, nasz ładunek jest wart siedemdziesiąt pięć milionów dolarów.

– Och! – zawołałam. – Smaczny kąsek dla piratów!

– Tak, ale „Wanja” nie zostanie zaatakowana przez piratów. Zamiast opowiadać, pokażę pani.

Przystanął w miejscu, gdzie wielka tuba kończyła się.

– Widzi to pani? To zawór do załadunku. Na końcu znajduje się takie pudełko, które otwiera ten zawór, ale najpierw trzeba mieć specjalną kartę z taśmą magnetyczną o określonej częstotliwości. Chcesz otworzyć zawór, musisz tam włożyć kartę z zapisem. Jest jeden kod i tylko ten rozumie maszyna.

– I pan jest jedyną osobą, która zna kod?

– Innymi słowy jestem jedyną osobą, która może załadować lub rozładować statek – stwierdził pewnym tonem.

– A co będzie, jeśli piraci opanują statek i zmuszą pana do otwarcia zaworu?

– Żeby to zrobić, muszą najpierw wejść na pokład. A to jest niemożliwe.

– Dlaczego? – zapytałam, nie dając za wygraną. – Czy nie mogą podплыnąć w nocy i wejść po drabinkach?

– Proszę, pokażę pani.

Podczas spaceru kontynuował opowiadanie o statku, a ja ciągle nagrywałam. Wjechaliśmy

windą do pomieszczenia kontroli. Jeszcze nigdy nie widziałam takiej ilości urządzeń elektronicznych w jednym miejscu.

– Teraz pokażę pani, dlaczego nie musimy się obawiać piratów.

Podszedł do jednego z ekranów z ciekłego kryształu i włączył go. Natychmiast ukazał się graficzny obraz „Wanji”. Wcisnął kilka przycisków i obok pojawił się kształt statku.

– To oczywiście teoria – powiedział – ale spójrzmy, co się stanie, jeśli podejdziesz bliżej.

Kiedy statek podpłynął jeszcze bliżej, punkt zaczął pulsować i usłyszałam wycie syreny. Wszystko, żeby ostrzec „Wanję”. Zakryłam dłońmi uszy.

– Dobrze! – wrzasnęłam. – Wierzę ci! Tylko wyłącz tę cholerną syrenę!

Z uśmiechem podszedł do ekranu i wyłączył go.

– No tak – powiedziałam – możesz zapobiec atakowi piratów z zewnątrz, ale co z tymi, którzy wejdą na pokład wcześniej jako pasażerowie na gapę. Na takim wielkim statku są setki miejsc mogących służyć jako kryjówki.

– Nie – odrzekł. Podszedł do innego ekranu i włączył urządzenie. Tym razem pokazały się kolejno wszystkie ładownie i pomieszczenia załogi, messa, nawet pralnia.

– Mimo wszystko – powiedziałam – to urządzenie nie może kontrolować sytuacji we wszystkich pomieszczeniach jednocześnie.

– Nie można nas oszukać z powodu odznaki.

– Jakiej odznaki?

– Tej. Na pokładzie tylko pani jej nie nosi – pokazał na mały metalowy punkt na klapie marynarki. Gdy włączył czujnik...

Znów podszedł do konsoli i wcisnął jakiś guzik. Znów odezwał się ryk syreny.

– Wyłącz to – wrzasnęłam. – Natychmiast!

Gdy wyłączył, zagadnęłam z uśmiechem: – Czy mogę otrzymać jedną z tych odznak?

– Jak wszystko inne na świecie – odpowiedział.

Uśmiechowi, który zagościł na jego twarzy, towarzyszyło taksujące mnie spojrzenie. Moja niechęć wobec De la Osy zaczęła wzrastać.

– Po prostu wymiana uprzejmości – rzekłam słodko – ale ty zacznij pierwszy.

W chwilę później przypinał mi jedną z odznak. Udałam, że mnie to bawi, ale cały czas rozmyślałam, jak spławić kapitana. Objął mnie i przycisnął do siebie, wpijając się w moje usta jak buldożer. Nie wiem, skąd wzięłam tyle siły, aby go odepchnąć.

– Później! – rzekłam z wymuszonym uśmiechem. – Teraz jestem trochę głodna.

Z trudem stłumił niezadowolenie. Zabrał mnie jednak do messy na lunch. Ledwie kelner podał przekąskę, usłyszałam pomruk motorów. Tankowiec rozpoczął podróż przez ocean.

Jedzenie było nadszpedzowanie dobre, szef

kuchni pochodził z Malezji i pokazał nam bogatą tradycję swoich ziomeków. Chyba było tego jednak za dużo i mój żołądek zbuntował się. Było mi niedobrze.

– Kapitanie, jest pan czarującym gospodarzem. Wszystkie było bardzo smaczne, ale nie czuję się dobrze i chciałabym się położyć.

Pomógł mi wstać od stołu, odprowadził przez korytarz, otworzył drzwi do kabiny i pożegnał. Dobrzełam do łóżka i upadłam na nie. W żołądku miałam burzę. Zebrałam jednak wszystkie siły, aby nie wymiotować. Jakoś udało mi się i uspokojona przez kołysanie, zapadłam w sen.

Przyśniło mi się coś, czego nigdy nie oczekiwałam.

Śniłam, że spędzam cudowne, słoneczne popołudnie w parku miejskim, siedząc na ławeczce i podziwiając piękno krajobrazu. Nagle usłyszałam podniecający i wabiący śpiew mężczyzny. Podążyłam w tym kierunku, skąd dochodził głos. Wkrótce dostrzegłam śpiewaka i zobaczyłam, że jest nim jeden z bliźniaków Davisów. Wydał mi się jakiś dziwny, inny niż ten, którego znałam. Był ubrany w luźną szmaragdową szatę, zupełnie jak dawny trubadur. Mężczyzna ten nie przerywał śpiewu, a jego głos doprowadzał moje ciało do wrzenia. Czulałam, że nie zniosę dłużej tego napięcia.

Podeszłam bliżej, przez cienką tkaninę widziałam dumnie sterczący słup, ale Davis powstrzymał mnie, unosząc rękę w innym kierunku.

Zza drzew wychodził orszak ślubny. Na czele szedł pan młody – drugi bliźniak i panna młoda, którą była Wanja, kochanka Armanda. Oboje byli bardzo elegancko ubrani i promieniowali radością. Reszta gości szła za nimi parami. Podeszłam do miejsca, gdzie stałam z pierwszym z bliźniaków i otoczyli naszą czwórkę kręgiem.

Po chwili Wanja zaczęła rozpinać suknię. Uniosła ramiona i wtedy ukazały się jej jędrne piersi z różowymi sutkami. Stała tak w słońcu rozbudzona i pełna podniecenia. Jedna z druhen podeszła do niej i zdjęła suknię do końca, a jakiś starszy jegomość pomógł rozebrać się panu młodemu.

W chwilę potem Tom Davis i Wanja rozpoczęły szalony taniec. W tym samym momencie drugi bliźniak – Tony – zaczął gładzić moje pośladki i rozbudził mnie do tego stopnia, że zaczęłam go prosić:

– Połóż się, kochany. Chcę usiąść na tobie i kochać się jak szalona.

Tony zrobił to, położył się obok brata, na którym już galopowała Wanja. W uniesieniu odrzuciła głowę do tyłu, twarz jej lśniła od potu, koniuszkiem języka oblizywała brzegi warg. Dźwięk jej głosu, widok pięknego ciała i cudowne ciepło członka Tony'ego sprawiły, że podniecenie ogarnęło mnie z niespotykaną siłą. Czulałam, jak płonę. Spojrzałam w kierunku Wanji. Ujęłam jej rę-

kę. Złapałyśmy ten sam rytm i poruszałyśmy się jak para bliźniąt pod nami.

Wkrótce poczułam pierwsze oznaki nadchodzącego orgazmu. Na myśl o nim zdwoiłam wysiłki. Wpatrywałam się w Wanję, gdy przeszył mnie pierwszy prąd rozkoszy.

Nagle znalazłam się w innym miejscu. Otaczała mnie migocąca mgiełka, jakieś cenne klejnoty. Byłam w sklepie czy w skarbcu: szafiry, brylanty, rubiny – wszystkie lśniące jak gwiazdy. Czułam się jak dziewczynka, która cieszy się ze swego pierwszego naszyjnika. Zapraǳnęłam podzielić się z kimś swoją radością. Mój kochanek zniknął. Zamiast niego dostrzegłam inną twarz z wyrazistą blizną biegnącą od oka przez policzek do szyi. Kto to był? Przypomniłam sobie tę twarz – to był Jean Lafitte, przywódca piratów.

Spojrzałam na Wanję i ze zdziwieniem stwierdziłam, że zarówno pod nią jak i pode mną leżał Lafitte, nikt inny tylko sam Sinobrody, osiemnastowieczny pirat!

Zaczęłam się śmiać. Po prostu nie mogłam powstrzymać ataku śmiechu.

– Przestań! – krzyknęła Wanja. – Co ci jest idiotko?

Śmiałam się dalej i nie mogłam przestać. Wanja zakryła mi usta ręką. Miała nadzieję, że mnie powstrzyma. Zaczęłam tracić oddech, ale nawet wówczas, Wanja nie zdjęła mi ręki z ust. Przesunęła ją nawet, aby zakryć mi nozdrza. Za-

częłam tracić powietrze i walczyć o życie. Wpadłam w panikę... i obudziłam się.

Zamiast powrotu do rzeczywistości i łyku świeżego powietrza, zobaczyłam, że czyjaś czarna ręka zakrywa mi usta. Taka jak Wanji, ale grubsza.

Czy to był nadal sen? Potrząsnęłam głową, chcąc odrzucić resztki marzy, ale ręka nie zniknęła. Spojrzałam w górę. Napotkałam ciemne oczy i nieruchomą, zupełnie obcą twarz.

ROZDZIAŁ X

– Tylko cicho – powiedział obcy. – Nic ci się nie stanie. Nikt nie chce cię skrzywdzić.

W pierwszym odruchu chciałam krzyknąć, ale było coś w jego głosie, co zakało mi wierzyć, że bezpieczniej jest usłuchać.

– Jestem Ashoke – przedstawił się, a po akcencie poznałam, że pochodzi ze wschodniej Afryki. – Statek jest teraz mój!

Ledwo mogłam w to uwierzyć. Superbezpieczny tankowiec został opanowany! „No tak – pomyślałam – to dzięki kapitanowi i jego komputerowym oczom”.

Zaczęłam intensywnie myśleć. Ashoke nie zdobył tego statku sam. On i jego ludzie musieli się jakoś na statek dostać, albo weszli w czasie lichterowania, albo byli od początku.

– Jak się tu dostaliście? Co z alarmem? – pytałam. – Co zamierzacie zrobić? Gdzie kapitan?

Nie miał najmniejszego zamiaru odpowiadać, ale na ostatnie pytanie odpowiedź padła sama, bo De la Osa wszedł do środka.

– A więc – rzekł – czy seniorita w końcu zdrowiała?

Ashoke spojrział nań ze złością.

– Co tu robisz? – warknął. – To nie twoje miejsce. Masz stać na mostku!

– Robię to, na co mam ochotę – odpowiedział kapitan – nie będę udawał więźnia na własnym statku!

A więc moje podejrzenia sprawdziły się. Brał udział w spisku!

Nie trzeba zatem wielkiej inteligencji, żeby wyobrazić sobie serię pirackich napadów, przy współpracy między ofiarą i rabusiem. Za każdym razem pozwolono piratom wejść na statek, a kapitan odcinał kontakt radiowy z łądem. Obierali taki kurs, jaki chcieli. Płynęli na spotkanie z mniejszymi tankowcami, które zabierały ich ładunek.

Podprowadzali statek ku prądom kierującym się ku brzegom, przesiadali się na łodzie ratunkowe i bezpiecznie płynęli na ląd, a tam opowiadali bajki o piratach... Nieraz mówiono, że załoga zniknęła, ale cóż prostszego „rozplynać” się w niezbadanej strukturze życia portowego Marsylii, Singapuru, Mombasy...

Duże pieniądze! Sprzedaż ładunku z jednego tylko tankowca starczał na długi okres życia niejednego „pirata”.

Choć nie wiem jeszcze wielu rzeczy, ale mam już to, co najważniejsze dla mego artykułu. Teraz muszę przeżyć, żeby go napisać.

Dzięki Armandowi kapitan De la Osa wiedział, po co tu jestem, a i Ashoke też. Nie wyszło by im na dobre, gdyby taki artykuł się ukazał.

Ich myśli biegly tym samym torem.

– Dobrze – powiedział kapitan. – Co zrobimy z tą panią? Mam pomysł.

– Jestem pewien, że masz – odpowiedział Ashoke – ale to nie twój kłopot. Moi ludzie otoczą ją odpowiednią opieką.

– W stylu twoich ludzi – warknął ze złością kapitan.

– Właśnie – odparł spokojnie Ashoke i spojrział na mnie z miłym uśmiechem. – Panno van Bell, pójdzie pani za mną.

Zabrzmiało to jak zaproszenie, choć wiedziałam, że to rozkaz. Niespodziewanie podszedł do mnie De la Osa z chusteczką w dłoni i zanim się zdążyłam zorientować, przycisnął mi ją do nosa. Poczułam słodkawy zapach chloroformu.

Zbudziły mnie prześwitujące przez dach promienie słońca. Powoli wracałam do przytomności. Leżałam w pomieszczeniu, które wyglądało jak chata kryta liśćmi palmowymi. Nie byłam, o dziwo, ani związana, ani zakneblowana. Nagle przede mną wyrósł jakiś kształt. To był Ashoke, podszedł blisko aż poczułam jego oddech.

– Przepraszam – zapytałam zdenerwowana – gdzie ja jestem?

– Mogę cię zapewnić, że jesteś w Afryce – odparł.

– To wspaniale. Ale Afryka to drugi co do wielkości kontynent na świecie, a więc powiedz

mi dokładnie, w której części jesteśmy. Powiesz mi?

– Niestety, nie.

– W porządku, a może mi powiesz, co się stało z "Wanją"?

– Została rozładowana i zatona – wyjaśnił pośpiesznie.

– Dobrze. Teraz pytam z samej ciekawości. Nie masz zamiaru zrobić ze mną tego samego? – zagadnęłam ironicznie.

– Co też ci przyszło do głowy – zaprzeczył. – To nie w moim stylu. Mogę ci jednak pokazać coś, co cię czeka w przyszłości.

Mówiąc to zrobił krok ku mnie, objął i zaczął miękko i delikatnie całować. Połączenie sytuacji, w jakiej się znalazłam, inteligencji Ashoke, jego zwierzęcy czar i łagodność podniecały mnie. Natychmiast uległam jego woli.

Całował mnie wystarczająco długo, abym zaczęła go pożądać. Potem wyprowadził mnie z chaty. Staliśmy na wąskiej plaży obrzeżonej palmami i skałami. Gdyby nie jej rozmiary, mogłabym przysiąc, że znów jestem na Seszelach.

Szliśmy plażą około ćwierć mili, trzymając się za ręce, gdy Ashoke nieoczekiwanie przemówił.

– To jest moja rodzinna miejscowość. Rodzice byli pasterzami bydła, analfabetami. Ojciec stracił wzrok, kiedy byłem mały, a troje młodszego rodzeństwa zmarło, nie osiągając wieku dwóch lat. Kiedy urosłem, postanowiłem być sa-

modzielny. Uciekłem i poszedłem do szkoły misyjnej, ale uczyłem się słabo i straciłem rok z powodu złych stopni. A potem nastał Amin. Stałem po niewłaściwej stronie. Wsadzili mnie do więzienia. Siedziałbym tam do tej pory, gdybym nie poznał Sir Johna.

– Sir Johna? – zapytałam zaskoczona. – Masz na myśli Johna Drury?

Spojrzał na mnie.

– Chodź – powiedział ostro. – Nasza rozmowa jest bez sensu. Mamy co innego do roboty.

Z trudem zbierałam myśli, istniało tylko jedno nieoczekiwane powiązanie finansisty i pirata. Za całą sprawą szajki krył się Sir John we własnej osobie. Czułam, że to może być prawda! Nie tylko znalazłam rozwiązanie zagadki, ale także zakończenie reportażu.

Nie interesowała mnie sława ani poświęcenie życia w poszukiwaniu prawdy. Teraz musiałam stąd uciec, ale nie wiedziałam jak to zrobić.

Ashoke zaczął jednak realizować swe własne pomysły. Aby odciągnąć moją uwagę od poruszanego tematu, zaczął mnie całować, pieszcząc piersi silnymi rękoma. Byłam wściekła, ale to jednak działało! Po kilku minutach moje biodra ruszyły w taniec, zataczając niewielkie koła, a wzgórek Wenery pocierał o budzący się penis.

Wiedział, że może mnie mieć w każdej chwili i poprowadził dalej. To, co tam zobaczyłam, sprawiło mnie w drżenie. Ashoke zabrał mnie

do świątyni afrykańskiego węzowego bóstwa – gady wiły się dosłownie wszędzie! W powietrzu czuło się dziwny zapach jakiegoś narkotyku, który utrzymywał je w stanie odrętwienia.

Ashoke przytulił mnie, może chciał mnie w ten sposób powstrzymać od krzyku. Nie mam uprzedzeń do węży i gdy przesunął ręce i zaczął mnie pieścić, osiągnęłam natychmiast taki stan podniecenia jak na ścieżce.

– Jakie to egzotyczne!

Trzymając jedną rękę silnie opartą na pośladkach, drugą sięgnął po węża. Pod wpływem ciepła zaczął on pełznąć w górę ramienia, a potem w dół tego, które mnie obejmowało. Patrzyłam zafascynowana na jego lśniące ciało. Był naprawdę piękny: zielono-żółty z dwiema czarnymi strzałkami na głowie.

Leniwie wędrował z ręki mężczyzny na moją talię.

– Cześć, maleństwo – pogłaskałam go. – Cudownie jest mieć taki pasek.

Ashoke i gad podniecali mnie bardziej niż ktokolwiek dotąd. Mężczyzna wzięł jeszcze jedno na wpełź rozbudzone stworzenie i położył mi na ramionach. Wąż przesunął się i luźno zwisał na szyi, pełznąć powoli w dół przez dekolt bluzki. Czułam jego śliską skórę i silne mięśnie.

Nie wiem, jak zareagowałabym na to, gdybym nie była już tak podniecona. W tych okolicznościach dotyk węża i Ashoke rozpalali mnie.

– Mmm – szeptałam do gada. – To cudownie!
Czuj się jak u siebie w domu.

Nagle jakby stworzenie usłyszało mnie i rozumiało; wąż podniósł głowę i wysunął rozdwojony język. Miałam dziwne, jednoznaczne skojarzenia.

– Wszystko w porządku, idź.

Znów miałam wrażenie, że mnie zrozumiał. Czulałam jego dotyk na brzuchu. Żaden człowiek mnie tak nie dotykał. Pomyślałam, że Kleopatra wybrała węża, bo ze wszystkich zwierząt są kobiecie najbliższe. Teraz już cały wszedł pod mą bluzkę i sunął pobudzony ciepłem ciała.

– Och, to boskie...

Ashoke zaczął mnie rozbierać, prawie o nim zapomniałam, ale gdy strumień chłodnego powietrza dotarł między moje nogi, poczułam tęsknotę za wypełnieniem pustego wnętrza.

– Ashoke... – dyszałam – nie mogę już wytrzymać. Muszę cię mieć. Nie mogę uwierzyć, co ten wąż ze mną robi... Kochaj mnie, proszę...

Chyba usłyszeli mnie wszyscy trzej. Najpierw zaczął pełzać wąż owinięty wokół talii, drugi ruszył w górę pieszcząc moje piersi. Ashoke przegiął mnie i moja szparka otworzyła się ku niemu zachęcająco. Bez zapraszania wszedł we mnie mocnym ruchem i zatonął we wnętrzu. Oparłam się rękoma o barierkę i z całej siły odpychałam się. Potrójna stymulacja doprowadzała mnie do szaleństwa.

– O tak... tak... tak...

W kilka minut później zeszytniałam w parokszymie miłosnego upojenia. Ashoke odplątał owiniętego wokół mnie węża. Trzymając go w pobliżu końca ciała, przesunął ogonem wzdłuż nabrzmiałych różowych płatków. Rozdarł mnie nagły wybuch rozkoszy.

Wracaliśmy do równowagi.

– Twój los, Krystyno, nie zależy ode mnie – powiedział.

Oznaczało to, że o mojej przyszłości decyduje Sir John Drury. Wiedząc, jaką rolę odgrywał w piractwie naftowym i znając jego bezwzględność, nie mogłam liczyć na jakiegokolwiek sentymenty.

Nagle olśniło mnie – mogłam nigdy nie mieć lepszej szansy ucieczki niż teraz. Ashoke odpoczywał po miłosnej walce. Podniosłam najbliższego węża, podeszłam do mężczyzny od tyłu i wykorzystując gada niczym żywą linę, okręciłam go wokół szyi Afrykańczyka. Ashoke upadł nieprzytomny na podłogę. Teraz pozostał tylko problem pozostałej straży.

Hałas na zewnątrz przykuł moją uwagę. W następnej chwili w drzwiach stanęli uśmiechnięci Tom i Tony Davisowie. Nie przypuszczałam, że ich widok sprawi mi kiedyś taką radość jak teraz.

– Jak dostaliście się tutaj? – zapytałam.

– Później – powiedział jeden z bliźniaków – teraz uciekajmy.

Za chwilę byliśmy na plaży. Przy brzegu, ku mojemu zdziwieniu, czekał wodolot.

– To Armand – wyjaśnił jeden z nich – sądził, że możesz go potrzebować.

Pomyślałam chwilę. Oznaczało to, że Armand nie należał do tej grupy, był jedną z ofiar.

Kazano pilotowi lecieć na Mahe, tam czekał mój własny samolot. Szybki telefon do Armanda, wezwanie pilota i zaraz potem lecieliśmy już do Londynu.

W czasie drogi ułożyłam plan dalszego działania. Najpierw postanowiłam iść do Colina Crewesa, który z pewnością był także w sprawę zamieszany. Tom i Tony mieli poczekać w pobliżu biura z magnetofonem i mikrofonami. Ja miałam zadanie zmusić go do przyznania się. Jeśli coś nie poszłoby w tę stronę – Tom i Tony mieli mnie ratować po raz drugi.

Wszystko zostało szczegółowo zaplanowane. W Londynie pożyczylimy kilka „pcheł” od znajomych rewolucjonistów w celu uzyskania podsłuchu i ruszyliśmy do City. Tom i Tony ukryli się w małym pomieszczeniu naprzeciw biura Crewesa.

Wesłam do Harwich Office i pojechałam windą na piętro Colina. Zastałam go wraz z Sir Johnem. Powinnam była się cieszyć, że złapałam ich obu, ale żadnego z nich jakoś nie zaskoczyła moja wizyta, co było podejrzane.

– Cześć, Krystyno – powiedział cicho Colin – oczekiwaliśmy naciebie.

Milczałam. Teraz mogę liczyć tylko na Toma i Tony’ego.

– Odwaliłaś kawał dobrej roboty, moja droga – pochwalił Sir John. – Moje gratulacje. Jaki to nieszczęśliwy zbieg okoliczności, że artykuł nigdy nie zostanie napisany. Rozumiesz chyba.

Na pewno chcieli mnie zabić. Dopóki jednak nic nie wiedzieli o mojej „ochronie osobistej,” mogłam grać.

– Tak sądzę – rzekłam – ale ponieważ nikt inny i tak nie pozna tajemnicy, może moglibyście zaspokoić moją reporterską ciekawość?

– Chętnie – odpowiedział Sir John. – Zajmuję się budową i sprzedażą statków. Im więcej ich ginie na morzu, tym więcej potrzeba nowych. Zysk dla mojej firmy. Dodaj do tego zysk ze sprzedaży kradzionej ropy i ubezpieczenia z towarzystwa Colina, a przekonasz się, ile przynosi mi ta operacja.

Sprawa ta tak mnie zajęła, że nie zauważyłam obecności jeszcze dwóch facetów w pokoju.

– A teraz – powiedział Colin – moi przyjaciele zapoznają panią z nowym stylem terroryzmu seksualnego. Problem w tym, że te metody są trochę niedelikatne.

– Odpręż się, kochaneczko – powiedział jeden z obcych – zbyt cię nie skrzywdzimy.

Wiedziałam, że najlepiej być bardzo uległym wobec terrorystów, to ich zbija z tropu i pozbawia możliwości użycia przemocy. Miałam też nadzieję na szybką reakcję bliźniaków.

Jeden z nich podszedł do mnie.

– A więc, zacznijmy od oglądania. – Potem przejdziemy do czynów.

– Musisz rozebrać się sama – dodał drugi. – Im mniej dostarczysz nam roboty, tym lepiej dla ciebie.

Wzruszyłam ramionami.

– Dobrze – przystałam. – Gwałcili mnie gorsi niż wy.

– Nie nazywaj tego gwałtem – zaprotestował – lepiej badaniem, jak mówią lekarze.

Odpinałam bluzkę tak wolno jak tylko mogłam. Potem szybko wyskoczyłam ze spódnicy i zsunęłam majtki. Dostrzegłam pożądlivy wzrok nie tylko obcych, którzy aż gwizdnęli z podziwu, ale także Sir Johna i Colina, dla nich to nie było nic nowego.

Rozbieranie się przed mężczyznami zawsze dawało mi satysfakcję. Lubiłam grać to przedstawienie i uwielbiałam obserwować ich reakcje. Nawet teraz, kiedy powinnam odczuwać strach, kokietowałam ich.

Jednak mój optymizm został zachwiany: zobaczyłam kaliber 32 wymierzony prosto w moje łono. Serce zaczęło mi bić tak gwałtownie, gdyż pomyślałam, że te zbiry zabiją mnie z polecenia Sir Johna.

– Teraz na kanapę, szybko – rozkazał jeden. – Połóż się i wyciągnij.

Zrobiłam, co kazano. W jednej chwili przywiązali moje ręce i nogi do kanapy. Byłam bezsilna, zdana na ich łaskę.

Spojrzałam na swój brzuch drżący ze strachu i zimna, ale jednocześnie z podniecenia. Jeden z mężczyzn usiadł pomiędzy moimi szeroko rozstawionymi nogami.

– Nigdy nie miałaś czegoś takiego – powiedział. – Nigdy!

Nagle poczułam coś lodowato zimnego wchodzącego w moje wnętrze. To była lufa pistoletu. Zesztywniałam.

– To zimne, co? Zaradzimy temu – rzekł następnik i zaczął owijać lufę w chusteczkę.

Znów wsunął mi ją między nogi. Teraz nie czułam chłodu, tylko twardą stal. Przez chwilę leżałam nieruchomo, jednak mój instynkt wziął górę. Zaczęłam poruszać biodrami ulegając uczuciu rosnącej rozkoszy.

– Nieźle!

– Oczywiście, mała – powiedział z aprobatą – ale nie wariuj. Nie chcemy, aby ta rzecz wystrzeliła.

Zignorowałam jego słowa. Myśl o niebezpieczeństwie tylko zwiększyła intensywność doznań.

W tym czasie drugi facet wszedł na kanapę i po chwili poczułam jego ręce na piersiach, zaczęłam pojękiwać:

– Och... tak... dotykaj mnie...

Rola bezsilnego więźnia podobała mi się coraz bardziej. Ci faceci byli artystami gwałtu. Ten, który klęczał nade mną, szczypał moje sutki, wyraz jego twarzy jednocześnie przerażał mnie i podniecał.

Nie zrozumcie mnie źle. Nie jestem masochistką. Chciałam po prostu wyciągnąć z tej sytuacji jak najwięcej przyjemności. Im dłużej to trwało, tym bardziej mnie wciągało...

– Cholera – powiedział jeden – jej się to podoba! Widziałeś coś takiego?

– Jeszcze jeden talent panny van Bell – usłyszałam głos Colina.

– Ona to uwielbia – potwierdził Sir John. Z jego czoła spływał pot. – Czyż nie, kochanie?

– O tak... – jęczałam – tak...

Sprawiałam wrażenie podnieconej do granic wytrzymałości. Częściowo udawałam, gdyż chciałam zaabsorbować ich uwagę: Tom i Tony już tu powinni być. Zaczynałam się niepokoić.

Teraz terroryści zaczęli zdejmować swe ubrania. Podziwiałam ich wspaniałe sztywne członki.

– Chyba nie czekasz na tych swoich amerykańskich goryli – powiedział Sir John. – Moi ludzie pozbawili ich tych śmiesznych zabawek oraz wolności. – Spojrzał na mnie ze smutkiem.

Zanim zdążyłam zareagować terroryści wskoczyli na mnie. Pierwszy przyklęknął i silnym ruchem wszedł we mnie.

– Jest twój, kochanie – szepnął – cały twój.

– To nie wszystko, co dostanie – usłyszałam z boku. Nie czekając na odpowiedź, drugi wepchnął swój penis do moich ust. Otworzyłam je szerzej, zaczęłam też pracować językiem. Zgraliśmy nasze ruchy i falowaliśmy zbliżając się do po-

trójnego orgazmu. Nagle poczułam, że oba członki sztywnieją i ten w moich ustach pozbywa się swego ładunku. Drugi wił się w ekstazie. Również moim ciałem wstrząsały dreszcze.

Niewiarygodne, ale gwałt zakończył się szczytowaniem całej naszej trójki.

Wolno wracałam do równowagi. Uświadomiłam sobie wyraźnie, że nie mogę już liczyć na niczyją pomoc. Jestem zdana na własne siły, a niewielkie są szanse przeżycia.

Zobaczyłam Colina ze strzykawką w ręce. – No, cóż – powiedział. – Myśleliśmy, że Ashoke załatwi to za nas, ale zneutralizowałaś go.

Stał nade mną z trucizną w strzykawce.

– Zaczekaj! – krzyknęłam. – Wiem, co chcesz zrobić, ale przedtem pozwól mi zadać pytanie Sir Johnowi. Ostatnie pytanie.

– Do końca dziennikarka – ironizował.

– W porządku – odparł Sir John. – Nie może nam już w niczym zaszkodzić. O co chodzi?

– Dlaczego najbogatszy i najpotężniejszy człowiek na świecie, zajął się piractwem? Dlaczego?

– Dobre pytanie. I dostaniesz dobrą odpowiedź. Nietrudno ją znaleźć: nieskończone możliwości...

– Nieskończone możliwości? Nie rozumiem!

– To jest współzawodnictwo – wyjaśnił. – Wygrasz, bo jesteś lepszy. Ja osiągnąłem szczyt, z wyjątkiem polityki, wygrałem wszystko w legalnych interesach, a moje nieskoń-

czone możliwości kazały mi działać w sferach nielegalnych.

– Przepraszam, ale nasz mały wywiad dobiegł końca – odezwał się Colin, przybliżając się do mnie ze strzykawką.

Nagle, gdy już byłam pewna nieuchronnego końca, rozpętało się piekło. Wszystko, co pamiętam i tłum policjantów, przepychanka, i aresztowanie moich rozmówców. Podniosłam głowę, aby rozeznać się w sytuacji i nieoczekiwanie zobaczyłam Toma i Tony'ego.

Za nimi stał Roan Jacobson.

– Roan! Co za spotkanie!

Podszedł do mnie i pocałował. Spojrzał na mnie i pokiwał głową.

– Proszę pani – powiedział – widzę, że zamierza pani napisać artykuł w pierwszej osobie.

– Tak, kochany, a przy okazji... Nie mam na imię „proszę pani”. Jestem Krystyna.

ROZDZIAŁ XI

Trzy dni później Sir John Drury i Colin Crewes siedzieli już w więzieniu, a ja i Roan zażywaaliśmy nocnej kąpieli w Morzu Śródziemnym.

– Kochany – zagadnęłam, unosząc się na wodzie – czegoś tu nie rozumiem. Po pierwsze, dlaczego mnie szukałeś, a po drugie, skąd wiedziałeś, gdzie jestem?

– Szukałem cię – odpowiedział – bo zadanie, które zaplanowałam wykonać, było niebezpieczne. Nie chciałem cię stracić. Gdzie znalazłbym drugą kobietę tak chętną do miłości w śnieżnym tunelu?

– Proponowałabym szukać wśród Eskimosów, na pewno znajdziesz tam jakąś panienkę, która chętnie ci ulegnie – zażartowałam. – Ale nie odpowiedziałeś na drugie z moich pytań.

– Po prostu przejrzałem roczne sprawozdanie firmy Sir Johna Drury. Wykazało bardzo duży zysk. A przecież w ciągu tego samego roku z powodu rzekomych piratów stracił kilka supertankowców. To było sprzeczne!

– Jakiś ty mądry, kochanie! – powiedziałam. – Jednak jestem ci wdzięczna. Naprawdę – dodałam. Objęłam go mocno. – Pozwól, że pokażę ci jak bardzo.